W NUMERZE M. IN: M. BECHCZYC-RUDNICKA – Nadszedł czas teatru poety, J. DOSTATNI – Po kapitulacji, B. DZIEMIDOK – Poznawcza funkcja sztuki, S. KOLADA – Cień na wodzie, Dyskusja o tajnym nauczaniu, Pompowanie pisarzy, Zapole

Rok założenia 1933

Kamena

LUBLIN 25.X.1970 Nr 22 (455) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Henryk Zwolakiewicz — akwarela z wystawy jubileuszowej „40 lat twórczości". O artyście piszemy na str. 6.

Fot. Z. Zugaj

Płacić znaczy wychowywać

Maciej Podgórski

Po pierwsze — sama rozbudowa gospodarcza naszego kraju nie jest celem samym w sobie, lecz ma służyć wychowaniu nowych ludzi i przekształcaniu starych stosunków społecznych w nowe, socjalistyczne stosunki społeczne. Po drugie — intensywna rozbudowa i unowocześnienie socjalistycznej ekonomiki nie są możliwe bez rozwijania i pogłębiania socjalistycznych stosunków społecznych, świadomości i postaw ludzi.

(Jan Szydlak)

TA konferencja samorządu robotniczego lubelskiej FSC (22 IX) miała charakter pionierski bodaj czy nie na skalę kraju, aczkolwiek wyrosła ze zjawiska ogólnopolskiego, jakim jest zainspirowany przez V Zjazd PZPR proces intensyfikacji naszej gospodarki na drodze wprowadzenia nowych bodźców materialnych i pozaekonomicznych do produkcji.

Przekładając to na język bardziej codzienny — szłoby o wdrażanie takiego systemu wynagrodzeń za pracę, który by w rezultacie maksymalnie faworyzował po prostu dobrą, rzetelną jakościowo robotę na każdym odcinku. Ale że nie

Dokończenie na str. 8

Fot. CAF

Zamość jutra

Rozmowa z prof. dr. Wiktorem Zinem

OD KILKU lat opinia publiczna informowana jest od czasu do czasu o pracach w kompleksie staromiejskim Zamościa. Mówi się bądź to o oddaniu jakiegoś określonego obiektu, bądź też o przebiegu całości prac, ale tempo obecne budzi niepokój, że jeszcze długo zamojskie Stare Miasto będzie tematem narad, opinii, komentarzy.

Ostatnio problemom Zamościa, a także lubelskiego Starego Miasta, poświęcona była wizyta ministrów: kultury i sztuki oraz gospodarki komunalnej. Warto więc przypomnieć, co stanowi staromiejski kompleks Zamościa.

Składa się nań 146 budynków, w tym 120 mieszkalnych i 26 użyteczności publicznej. Przeprowadzona przed dwu laty szczegółowa inwentaryzacja i analiza stanu technicznego obiektów wykazała, że 20 proc. budynków jest zniszczonych w 70 proc., a połowa od 60 do 70 proc. W pozostałych zaś obiektach stopień zniszczenia oblicza się w granicach 35—50 proc. I tak na 138 przebadanych budynków — w 43 stwierdzono spękane ściany nośne, w 79 niekompletne mury i uszkodzone tynki, w 57 zawilgocone mury zewnętrzne, w 51 uszkodzone rynny, w 10 czynne procesy suffozyjne, w dalszych 11 bardzo zły stan podziemi, 11 budynkom grozi katastrofa.

Losami tak zagrożonego Starego Miasta po raz pierwszy zajęto się dopiero w 1961 r., chociaż, gwoli ścisłości, dodać należy, że w latach

Dokończenie na str. 10—11

STYGNĄCE KOWADŁA?

Ireneusz J. Kamiński

PRZED sklepem Gminnej Spółdzielni pierwsze wyhamowały „Wołgi" i „Warszawy", za nimi wozy techniczne TV i Polskiej Kroniki Filmowej, na końcu w gutanowskiej glince ciężko osiadły dwa autobusy PKS, z tej uroczystej okazji przemianowane na autokary.

Ponad setka gości ruszyła ławą w kierunku klubu „Rolnika", a byli to goście dostojni, więc dziatwa szkolna, dyskretnie programowana przez panią nauczycielkę, dalejże kwiatem przybyłych częstować, a były to astry, kwiaty polskiej jesieni. Z miejsca nastrój jakiś ciepły wszystkich opanował, choć dzień zimny, tym bardziej że gospodarz najważniejszy witał każdego z osobna, dłonią żylastą i mocną potrząsając miękkie na ogół prawice przybyłych.

Jak się rzekło, było ich ponad stu: kilkunastu kowali — artystów ludowych z Lubelskiego, Krakowskiego, Kieleckiego i Katowickiego, więcej niż trzy dziesiątki dziennikarzy z radia, pism centralnych i wojewódzkich, etnografowie i muzealnicy, zwarta ekipa warszawskiej „Cepelii", przedstawiciele administracji kulturalnej, osoby towarzyszące i inni.

W centrum uwagi byli kowale, którzy w Gutanowie w bezpośrednim starciu walory swoje artystyczne mieli wykazać, kończąc tym samym drugi i ostatni etap ogólnopolskiego konkursu w tej to dziedzinie ludowego rzemiosła. Do udziału w konkursie zaproszono 100 ze 150 zarejestrowanych przez „Cepelię" twórców; propozycją tą zainteresowało się 31, a 13 z nich znalazło się w gutanowskim finale, który miał się niebawem rozegrać w kuźni Bronisława Pietraka — prezesa Stowarzyszenia Twórców Ludowych, sprawnie władającego nie tylko młotem, ale i piórem, i nożycami do wycinanek.

Kowale ubrani byli na ogół w płaszcze ortalionowe, ciemne garnitury, niektórzy w koszulki „polo"; jeden tylko Mieczysław Biernacik z Zakopanego wystąpił w góralskich guniach i kapeluszu z muszelkami, co miało okazać się kamuflażem, albo — jak kto woli — świadomą stylizacją a'la region.

Rozsiedli się więc kowale w klubie, gdzie tłok wielki, skupili razem pod piecem kaflowym, i zasłuchali w powitalne przemówienia, popatrując od czasu do czasu na dzieła swe konkursowe, zdobiące pobliską część sali. Zasłuchał się i Mieczysław Biernacik z Zakopanego, i Leon Szemberg z kieleckich Radoszyc, i Bronisław Cukier, i Władysław Gąsienica-Makowski, obaj z Zakopanego, i Jan Schreiner spod Nowego Sącza, i Julian Psujek z Krasnegostawu, i Jan Białek z krasnostawskiego Zastawia, i Edward Bychawski z Krasnegostawu, i Piotr Piórko z krakowskich Chole-

Dokończenie na str. 6—7

Poznawcza funkcja sztuki

Bohdan Dziemidok

„Głównym celem sztuki (...) jest ujawnienie i wypowiedzenie prawdy o duszy człowieka, wypowiedzenie takich tajemnic, których nie można wyrazić prostym słowem".

(Lew Tołstoj, „Dzienniki").

„...dobra powieść lub dramat często wzbogaca bardzo poważnie naszą wiedzę o ludzkim świecie ukazując nowe aspekty rzeczywistości, mnoży jej „wymiary", uświadamia niedostrzegalne związki, stawia nowe problemy społeczne, psychologiczne, czasem w sposób bardziej sugestywny niż rozprawa socjologiczna. Może (...) pogłębiać rozumienie pewnych zjawisk społecznych i typów osobowych, może czynić człowieka mądrzejszym. Socjologiczne i psychologiczne odkrycia, których doniosłość polega na zwróceniu uwagi na pewne fakty, na pewne podobieństwa, albo na pewne zależności przyczynowe, są dokonywane nie tylko przez uczonych, ale i przez poetów, dramaturgów, powieściopisarzy. Czarodziejska Góra Tomasza Manna, bardziej pogłębi wiedzę niejednego czytelnika o człowieku, niż to lub tamto dzieło naukowe. Psychologii tłumu można uczyć się z szekspirowskiego Juliusza Cezara, a psychoanalizy z Hamleta, Ryszarda II, z Kordiana, z czwartej części Dziadów, z powieści Dostojewskiego, które wyprzedziły w czasie Freuda i jego następców".

(Stanisław Ossowski, „O osobliwościach nauk społecznych").

ESTETYKA marksistowska wskazuje na wielorakie funkcje spełniane przez sztukę wobec jednostki i społeczeństwa i przypisuje jej wielką rolę w realizacji ideałów komunistycznych: wszechstronnego rozwoju osobowości, uspołecznienia jednostki, kształtowania twórczego stosunku do pracy itd. Sztuka np. kształtuje i najpełniej zaspokaja estetyczne potrzeby człowieka. Spełnia ona również w sposób efektywny funkcję ideowo-wychowawczą, popularyzując określone wzorce osobowe, systemy wartości oraz ideały społeczne i mobilizując do walki o ich realizację; potrafi także demaskować, piętnować i zwalczać zło oraz wstrząsać sumieniami; wreszcie oddziaływając na intelekt, uczucia i zmysły odbiorców, rozwijać ich zdolność do refleksji oraz wrażliwość emocjonalną i zmysłową.

W artykule tym chciałbym scharakteryzować tylko jedną ze społecznych funkcji sztuki, a mianowicie jej funkcję poznawczą.

Omówienie tego zagadnienia wymaga przede wszystkim rozstrzygnięcia dwóch następujących kwestii: 1) czy sztuka współczesna w autentyczny sposób wzbogaca naszą wiedzę o świecie i życiu ludzkim, tj. inaczej mówiąc, czy gdyby sztuka przestała istnieć, nasza wiedza o pewnych przynajmniej zjawiskach rzeczywistości byłaby wiedzą uboższą? 2) na czym polega swoistość poznawczej funkcji sztuki w stosunku do nauki i masowych środków przekazu?

Problem poznawczych walorów sztuki interesuje mnie przy tym nie od strony twórcy i jego poznawczej aktywności, lecz w relacji dzieło sztuki — odbiorca.

By uniknąć nieporozumień, należy wyjaśnić, że zarówno pojęcie „sztuka", jak i pojęcie „poznanie" będą używane przeze mnie w szerokim znaczeniu. Zakresu pojęcia „sztuka" nie ograniczam bowiem do sztuk plastycznych, jak to niekiedy się robi; mówiąc o sztuce, mam na myśli wszystkie jej dziedziny, przede wszystkim zaś literaturę, teatr i film. Również pojęcia „poznanie" nie sprowadzam do tego typu poznania, które nacechowane jest dążeniem do wykrycia uniwersalnych prawidłowości, a rezultaty swych dociekań wyraża w abstrakcyjnych pojęciach, ogólnych teoriach i ścisłych formułach. Przez „poznanie" będę rozumiał proces wyróżniania w otaczającym nas świecie różnorodnych bodźców oraz analizowania ich i wartościowania, co w rezultacie prowadzi nie tylko do wzbogacenia naszego doświadczenia i wiedzy o świecie, lecz także pomaga zachowywać się celowo i dostosowywać się do zastniałych warunków.

Arystoteles określił rozkosz estetyczną jako radość poznawania. Nie wydaje się co prawda, że jest to pełna i wielostronna charakterystyka tak złożonego i subtelnego przeżycia, jak satys-

Dokończenie na str. 5

teatrnn.pl

Kultura 1970

Julian Przyboś

Znakomity poeta i eseista, współtwórca Krakowskiej Awangardy Poetyckiej, pierwszy prezes Związku Literatów Polskich i wiceprezes obecnej kadencji, b. poseł do KRN, laureat nagrody państwowej I stopnia, odznaczony Orderem Sztandaru Pracy I klasy i wielu innymi odznaczeniami — zmarł nagle w czasie zjazdu tłumaczy literatury polskiej w Warszawie, tuż przed śmiercią recytując wiersze poetów polskich w przekładach.

Autor wielu zbiorów poetyckich, m. in.: „Miejsce na ziemi", „Rzut pionowy", „Póki my żyjemy", „Narzędzie ze światła". W latach dwudziestych był teoretykiem Krakowskiej Awangardy, w latach trzydziestych należał do grupy „a. r." (artyści rewolucyjni) w Łodzi. Współredaktor „Odrodzenia" i „Przeglądu Kulturalnego". Niedawno ukazała się Jego ostatnia książka — „Wiersze i obrazki".

Cześć Jego pamięci!

Literatura

* Z udziałem 100 wybitnych popularyzatorów polskiej kultury z 20 krajów odbył się w Warszawie zjazd tłumaczy literatury polskiej. Laureatami ZAIKSU za działalność przekładową zostali: Kazuo Yonekawa z Japonii, Kurt Keim z NRD, Klaus Staemler z NRF, David J. Welsh z USA i Światosław Swiacki z ZSRR.

* W ramach Lubelskiej Biblioteki Poetyckiej, publikowanej przez Wydawnictwo Lubelskie, ukazał się jubileuszowy, 50 tomik — „Syn Róży" Jalu Kurka.

* Nakładem Wydawnictwa Poznańskiego ukazała sie antologia nowel i opowiadań 16 pisarzy fińskich pt. „Zyzny granit". Po antologii szwedzkiej „Losy ludzkie" jest to druga pozycja z cyklu antologii literatur krajów skandynawskich.

* Został rozstrzygnięty konkurs literacki zorganizowany z okazji 20-lecia Nowej Huty. Pierwszą nagrodę w dziale reportażu otrzymał Stanisław Harasimiuk z Lublina (współpracownik „Kameny") za reportaż pt. „Warianty".

* Adwokat łódzki, L. Sługocki, od lat zajmuje się twórczością Stendhala i ogłosił na ten temat wiele prac w języku francuskim. Jako jedyny Polak jest członkiem Association des amis de Stendhal.

* W Moskwie ukazała się głośna książka Seweryny Szmaglewskiej „Dymy nad Birkenau" w tłumaczeniu Ewy Wasilewskiej (córki Wandy). W Hamburgu natomiast ukazała się powieść Jerzego Putramenta „Pasierbowie" w przekładzie Klausa Staemlera.

* Z okazji 90 rocznicy urodzin Aleksandra Bloka we wsi Tarakonowo koło Szachmatowa, gdzie spędził on swój miodowy miesiąc, otwarto wielką wystawę poświęconą rosyjskiemu poecie. Obejmuje ona m. in. 300 jego fotografii.

Teatr

* W listopadzie warszawski teatr lalkowy „Guliwer" wyjeżdża do Szwecji, gdzie pokaże „Pana Twardowskiego" według baletu Ludomira Różyckiego w reżyserii Moniki Snarskiej i choreografii Witolda Borkowskiego.

* Łódzki Teatr Lalek „Pinokio" dał w ubiegłym sezonie 637 przedstawień dla 181 tys. młodych widzów. Największym powodzeniem cieszyła się prapremierowa sztuka Marii Kann „Syn Faraona".

* 103 spektakle wyłącznie dla młodzieży musiał dać Teatr Ziemi Łódzkiej z „Zemstą" Fredry — widownie zapełniło 30 tys. młodych widzów.

* Głośny w świecie „Balet XX wieku" Maurice Bejarta obchodził 10-lecie istnienia. Jubileuszowy spektakl odbył się w Brukseli.

* Francuski teatr Atelier rozpoczął nowy sezon prapremierą sztuki Francoise Sagan „Un Piano dans l'herbe" („Fortepian w trawie"). Treścią jest spotkanie ludzi, którzy rozstali się przed 20 laty. Zdaniem recenzentów obserwacje autorki nie są zbyt głębokie ale atmosfera i środowisko są zupełnie inne niż w dotychczasowych jej sztukach.

* Londyński Teatr Narodowy rozbudowuje się. Obok słynnego Old Vic rozpoczął działalność Young Vic, dysponujący salą na 450 miejsc. Ambicją tej placówki jest utrzymanie niskich cen biletów oraz umożliwienie występów młodym, nie znanym jeszcze aktorom.

* W Stanach Zjednoczonych istnieją tylko 42 stałe teatry zawodowe, w których występują zawodowi aktorzy. Niezależnie jednak od tego działają setki teatrów klubowych, letnich, półzawodowych i amatorskich. W ubiegłym sezonie w 26 czołowych teatrach było 3 miliony widzów.

Sztuka

* W Saspowie pod Krakowem odkryto najstarsze w Polsce pracownie kamieniarskie z okresu początkowego i środkowego neolitu, a więc sprzed około 6 tysięcy lat. Odkryto także szyby głębokości 3 m.

* Mamy obecnie w kraju 6 tysięcy społecznych opiekunów zabytków oraz kilkaset zespołów opiekuńczych w szkołach, drużynach harcerskich i zakładach pracy.

* Olsztyńskie Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne wystąpiło z nowym projektem: organizowania co roku w Reszlu targów sztuki ludowej.

* Coraz większy rozgłos w swojej okolicy zdobywa rolnik Stefan Prokop ze wsi Domaradz w powiecie słupskim. Rzeźbi on w drzewie historyczne gady, które mają w sobie wiele prymitywizmu i autentyzmu ludowego.

* Sekretarz polskiej stacji archeologicznej w Kairze, mgr Andrzej Daszewski, przebywał w Tunezji, gdzie opracował projekt wykopalisk archeologicznych i konserwacji zabytków w rejonie dawnej Kartaginy.

* W Moskwie i Leningradzie toczyły się obrady Międzynarodowego Komitetu Muzeów Archeologicznych i Historycznych, którym przewodniczył prof. dr K. Michałowski.

* Francuskie muzeum w Grenoble wystawiło największy w Europie obraz Jean Dewasne'a. Długość obrazu wynosi 150 m, wysokość 8 m; malarz zużył 200 kg farby w 9 kolorach. Dzieło to ma być początkiem galerii dzieł eksperymentalnych.

* W Wiedniu otwarto wystawę dzieł Vercorsa. Ten utalentowany pisarz francuski był z wykształcenia inżynierem, a działalność artystyczną rozpoczął od uprawiania rysunku.

Muzyka

* Teatr Wielki w Łodzi da w tym roku premiery dwóch sztuk polskich: „Białowłosa" Henryka Czyża i „Tryptyk baletowy", złożony z utworów Moniuszki i Szymanowskiego. „Białowłosa" była grana w Warszawie w 1962 roku, ostatnio autor poczynił duże modyfikacje w muzyce.

* Filharmonia Śląska w Katowicach obchodzi 25-lecie istnienia. Dała ona dotychczas prawie 11 tys. koncertów dla ponad 5 mln słuchaczy. Koncertowała w wielu państwach, od 9 lat stale bierze udział w Warszawskiej Jesieni. Organizuje m. in. festiwale muzyki rosyjskiej i radzieckiej oraz konkursy dyrygenckie.

* Zamieszkały stale w Szwajcarii znakomity pianista polski, Witold Małcużyński, został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

* W Londynie odbyło się światowe prawykonanie Koncertu na wiolonczelę i orkiestrę symfoniczną Witolda Lutosławskiego. Wykonawca był Mścisław Rostropowicz.

* Maria Foltyn i Roman Węgrzyn występowali w „Tosce" na scenie opery w Hawanie, ponadto dali kilka recitali w innych miastach.

Film

* Grand Prix VI Ogólnopolskiego Festiwalu Filmów Amatorskich „Pol-8" w Polanicy Zdroju otrzymał film „Szyny, podkłady, tory", zrealizowany przez Mariana Jarosza z AKF „Projektor" w Białymstoku. Ośmiominutowy film pokazuje pracę kolejowych brygad torowych.

* W Białymstoku odbył się I Ogólnopolski Festiwal Amatorskich Filmów Społecznie Zaangażowanych „Publicystyka 70". Ze 132 filmów nadesłanych z 46 amatorskich klubów do wyświetlania zakwalifikowano 62.

* Do znanej z ekranu sekwencji wysadzenia w powietrze Kamieńca w „Panu Wołodyjowskim" użyto po 450 kg cementu, czarnej farby i wapna, samochód ciężarowy pianozolu, dwa samochody darniny, 3 samochody czarnej ziemi i 15 kg prochu. Całością prac kierował pirotechnik Henryk Piotrowski.

* Na ekrany wielu kin moskiewskich weszła polska „Lalka"

Różne

* W Polsce przebywał Muhammed Almed Khalafallach, dyrektor generalny do spraw organizacji i badań w Ministerstwie Kultury ZRA.

* Józef Wilkoń zakończył przygotowanie ilustracji do nowej edycji „Pana Tadeusza", która ukaże się w 1972 roku nakładem Arkad. Będzie to 25 całostronicowych plansz, o których twórca tak mówi: „Chciałem, aby moja ilustracja wyrażała coś więcej ponad jednorazowy obraz, jedno zdarzenie. Nie ma więc np. sceny grającego Jankiela; jest to, co się dokonuje w wyobraźni słuchaczy".

* Prezydium WRN w Szczecinie powołało Wojewódzką Radę Biblioteczną jako swój organ doradczy i opiniodawczy w sprawach czytelnictwa, a także polityki inwestycyjnej i remontowej.

Nagrody wojewódzkie

Laureatami tegorocznych nagród Prezydium WRN w Lublinie zostali: doc. dr inż. **Jerzy Budzyński** — pracownik naukowy WSI, red. **Mieczysław Cap-Cieplica** — przedstawiciel „Głosu Pracy" na woj. lubelskie, red. **Marek Adam Jaworski** — redaktor naczelny „Kameny", **Juliusz Kleczek** — artysta plastyk, prof. dr **Jerzy Korohoda** — pracownik naukowy WSR, prof. dr **Kazimierz Myśliński** — pracownik naukowy UMCS, **Kazimierz Rogowski** — twórca ludowy, doc. dr **Bolesław Semczuk** — pracownik naukowy AM, **Kazimiera Walczakowa** — kierownik zespołu folklorystycznego „Powiśle" z Końskowoli, dr **Stefan Wojciechowski** — działacz kulturalno-oświatowy. Nagrodę zespołowa otrzymał **Dom Kultury przy zakładach EDA** w Poniatowej. Serdecznie gratulujemy!

TAJNE NAUCZANIE

W początkach listopada odbędzie się w Lublinie sesja naukowa zorganizowana przez Zarząd Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego i poświęcona problematyce tajnego nauczania w czasie okupacji hitlerowskiej. W związku z tym poprosiliśmy kilku organizatorów tajnego nauczania na Lubelszczyźnie oraz kilku nauczycieli, którzy naukowo zajmują się tą problematyką, na spotkanie w Domu Nauczyciela. Po wstępnych słowach prezesa ZO ZNP mgr. inż. Kazimierza Kaznowskiego, wiceprezesa ZO do spraw nauki doc. dr. hab. Ryszarda Orłowskiego i red. nacz. „Kameny" mgr. Marka Adama Jaworskiego, informujących o celu spotkania, rozwinęła się dyskusja, której przebieg poniżej relacjonujemy.

Mgr Henryk Brydak

Mgr Jerzy Doroszewski

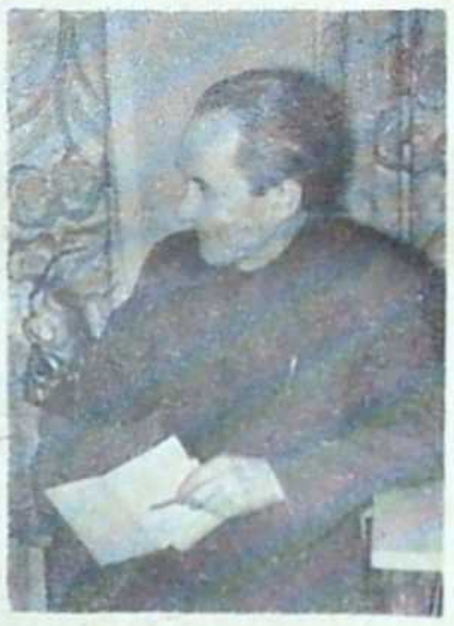

Anatol Jamiński

Mgr Mieczysław Koszałko

Józef Kusz

Prof. dr Włodzimierz Zinkiewicz

— Wojna i okupacja hitlerowska została mnie w Puławach. Państwowe Liceum i Gimnazjum im. Adama Czartoryskiego wznowiło swą działalność w październiku 1939 r. Początkowo nauczaliśmy w budynku szkolnym, później — po zajęciu gmachu przez Niemców na szpital wojskowy — w domach prywatnych poszczególnych nauczycieli. Tak było do stycznia 1940 r., kiedy to władze hitlerowskie wydały surowy zakaz nauczania w szkołach średnich i wyższych, kategorycznie zabraniając udzielania lekcji prywatnych w domach. Dyrektor Feist, który podpisał volkslistę i później wyjechał do Wiednia, polecił całemu gronu nauczycielskiemu zaprzestać dalszej pracy. Nam, nauczycielom, trudno było jednak pogodzić się z tą decyzją, tym bardziej, że sama młodzież garnęła się do nauki.

Z inicjatywy podziemnych władz podjąłem się kierownictwa tajnego nauczania w Puławach i w powiecie. Rozpocząłem pracę w lutym 1940 r. przy współudziale koleżanek i kolegów: Eugeniusza Dawidowicza, Szczęsnego Gorzechowskiego, ks. Zygmunta Adamczewskiego, Marty Wolińskiej, Hanny Boskiej, Wacława Szymańskiego, Aleksandra Kaczorowskiego, Zofii Szymańskiej i Jadwigi Wolińskiej. Sporadycznie współpracował z nami Wacław Broniewicz.

Nauka jak i egzaminy odbywały się w prywatnych mieszkaniach nauczycieli, głównie na tzw. Działkach. Trzeba było zachować maksymalną konspirację, gdyż wokół przebywało wielu gestapowców i oficerów niemieckich. Wystawialiśmy często specjalne warty złożone z dzieci, które miały sygnalizować zbliżające się niebezpieczeństwo.

Powierzono mi stanowisko dyrektora gimnazjum i liceum.

Udało nam się ocalić bibliotekę szkolną: blisko 7 tys. tomów ukryliśmy w prywatnych mieszkaniach, książki stanowiły później dużą pomoc w nauce.

Całe grono pedagogiczne pracowało ciężko. Komplety uczących się nie mogły być zbyt duże, liczyły one od 5 do 10 osób. Nauczyciele pracowali po 8—10 godzin dziennie, często zupełnie bezinteresownie.

Poza pracą w samych Puławach trzeba było przebywać w terenie — organizować nowe komplety tajnego nauczania i przeprowadzać egzaminy. Komisja egzaminacyjna kilkakrotnie wyjeżdżała do Garbowa, Opola, Niezdowa, Żyrzyna i Kurowa. Szczególnie w końcowym okresie okupacji te wyjazdy stały się niebezpieczne. Pamiętam, jak w maju czy w czerwcu 1944 r. wracaliśmy z Nałęczowa do Puław wagonem pchanym przed lokomotywą. Wagon ów ubezpieczał transport wojsk hitlerowskich. W drodze zostaliśmy ostrzelani przez partyzantów.

Egzaminy wiązały się z ewidencją. Początkowo materiały przechowywałem w bibliotece, później zrobiłem skrytkę pod podłogą.

Część naszych uczniów pracowała w konspiracji. Uczyli się i walczyli z hitlerowcami. Jeden z naszych uczniów, Piwowarek, zginął podczas akcji na torach.

W rozwoju tajnego nauczania dużą rolę odgrywała tzw. Trójka Oświatowa. Jej przewodniczącym był inspektor szkolny, kol. Mateusz Pater, a członkami — Anatol Jamiński i ja. Koledzy Pater i Jamiński opiekowali się szkolnictwem podstawowym, ja — średnim.

Łącznie od lutego 1940 r. do czerwca 1944 r. w naszej ewidencji było 540 osób. Taka duża liczba młodzieży uczyła się, bądź zdawała egzaminy w tajnym gimnazjum i liceum. Niezależnie od naszego gimnazjum w Puławach działał drugi ośrodek szkolnictwa średniego w Instytucie Rolnym prowadzonym przez ks. Potrzebowskiego (Orłowskiego).

Czyniliśmy też próby powołania do życia tajnego studium wyższego w Puławach przy Instytucie Naukowym Gospodarstwa Wiejskiego. Powstało wprawdzie — przy czynnym współudziale prof. dr. Minkiewicza i prof. dr. Kaznowskiego — studium rolne, niestety ze względu na aresztowania istniało ono zbyt krótko.

Władysław Salwowski

— Gdy rozpoczęła się wojna, byłem inspektorem szkolnym w Janowie Lubelskim, wówczas stolicy dzisiejszych powiatów janowskiego i kraśnickiego. Moja rodzina znalazła się w Puławach. Jadąc tam, wstąpiłem do Lublina, gdzie skontaktowałem się z kuratorem Janem Odroniem. Otrzymałem polecenie, aby natychmiast organizować tajne nauczanie zarówno w Puławach jak i w Janowie. Po przybyciu do Puław zgłosiłem się do inspektora Świgosta, przekonsultowaliśmy nasze zadania, przewertowali listę nauczycieli, zastanawiając się, na których możemy szczególnie liczyć w naszej pracy.

Dużą uwagę zwróciłem na szkoły rolnicze, w których nauka odbywała się, oczywiście według okrojonego programu. Chodziło nam głównie o to, aby ukryć książki do nauki historii i języka polskiego, tak by młodzież i z nich mogła korzystać.

Mgr Jerzy Doroszewski

— Jestem w tym gronie stosunkowo młody, nie mogłem więc w tych czasach jeszcze nauczać, ale tajnym nauczaniem bardzo się interesuję i publikowałem prace na ten temat. Chciałbym podkreślić, że właśnie powiat puławski ma na tym polu duże osiągnięcia. Tu np. aż 44,8 proc. nauczycieli szkół powszechnych brało czynny udział w tajnym nauczaniu! Jest to procent wyższy niż w innych powiatach na terenie ówczesnej Generalnej Gubernii.

Początki tajnej pracy oświatowej były przede wszystkim dziełem samych nauczycieli, którzy już przy końcu 1939 r. przystąpili do organizowania kompletów, ale kierowniczą rolę w tym procesie odegrała TON (Tajna Organizacja Nauczycielska), a następnie Powiatowa Komisja Oświaty i Kultury. Powołanie w Puławach tajnej, pełnej szkoły średniej, której dyrektorem był właśnie prof. dr Zinkiewicz, oznaczało nadanie jej całkowitych uprawnień w zakresie przeprowadzania egzaminów i wydawania świadectw, początkowo jako jedynej tego rodzaju na terenie powiatu. Z biegiem czasu, wraz z rozwojem tajnej oświaty w innych miejscowościach, spełniała ona rolę doradczą, a nawet pewnego rodzaju kontrolującą, szczególnie tam, gdzie stworzono klasy gimnazjalne w oparciu o szkoły podstawowe. Jesienią 1941 r. władze powiatowe „Roch" i BCh przy współudziale TON powołały do życia Powiatową Komisję Oświaty i Kultury, której przewodniczył wspomniany już przez prof. Zinkiewicza Mateusz Peter. W jej skład poza prof. Zinkiewiczem i Jamińskim wchodził jeszcze Stanisław Koter, odpowiedzialny za szkolnictwo zawodowe. W pracy komisji brał też udział Aleksander Kierek, organizując komplety na terenie Celejowa i Kazimierza.

Fakt odgrywania decydującej roli przez „Roch" i BCh w tworzeniu tajnego nauczania wywarł ogromny wpływ na jego późniejszy rozwój, a przede wszystkim formy pracy, ponieważ nauczyciele byli czynnie zaangażowani tak w jednej, jak i w drugiej działalności. Przyczyniło się to do zwiększenia bezpieczeństwa w pracy oświatowej z jednej strony, oraz jej rozwoju w oddziałach partyzanckich — z drugiej. Oprócz nauczania w zakresie szkoły podstawowej i średniej szeroko rozwijano oświatę dla dorosłych, a korzystając z pobytu profesorów wyższych uczelni również studia w zakresie szkoły wyższej. To jest zresztą osobny, ciekawy rozdział. Inicjatywa wyszła od młodzieży zorganizowanej w Batalionach Chłopskich, a poparł ją prof. Teodor Vieveger, były rektor Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie, który w czasie wojny znalazł się w Puławach. Prof. Vieveger przejął w zasadzie całokształt zagadnień związanych z organizacją pracy. Troszczył się o zapewnienie wykładowców, których sprowadzał z Warszawy, czuwał nad przebiegiem nauki. Na wykładach realizowano program wydziałów: ekonomiczno-prawnego, humanistycznego oraz pedagogicznego. Niezależnie od tego była ta forma pracy, o której wspominał prof.

Władysław Salwowski

Mgr Stanisław Speruda

Mgr Franciszek Szabelski

Prof. dr Włodzimierz Zinkiewicz

Zinkiewicz; mam na myśli wykłady organizowane pod pozorem kursów rolnych dla młodzieży, która rozpoczęła studia rolne przed wojną bądź kończyła szkołę średnią w tajnym nauczaniu.

Anatol Jamiński

— Im później — tym mniejszą wartość mają nasze „zeznania". Mieszają się daty, niektóre nazwiska ulatują z pamięci. Wspomnieli tutaj o mnie prof. Zinkiewicz i mgr Doroszewski, bowiem pracowałem w Powiatowej Komisji Oświaty i Kultury, w moim mieszkaniu również pracowały komplety tajnego nauczania, też rozstawialiśmy warty, aby w razie czegoś nie dać się zaskoczyć. Kiedyś była łapanka, uciekliśmy do lasu, ja wdrapałem się na sosnę i na tej sośnie przesiedziałem do zmroku. W naszym domu były też wizyty hitlerowców. Aresztowali sąsiada Gawrońskiego, który później zginął, szukali mieszkającego obok mnie podoficera...

Nawet w okresie wielkich zwycięstw III Rzeszy wierzyliśmy, że hitleryzm zostanie zdruzgotany. Ja miałem kontakty z członkami PPR, kolportowałem tajne biuletyny. Gdy mi je wieczorem przynoszono, zanosiłem je do lasu i tam przykrywałem mchem. Rano wkładałem pod podeszwę, szedłem do miasta i przekazywałem dalej.

Młodzież uczyła się pilnie, była pełna zapału...

Mgr Mieczysław Koszałko

— Słucham tu wypowiedzi o powiecie puławskim, podobnie było w czasie okupacji u nas, w powiecie janowskim, a może lepiej mówić — kraśnickim, ponieważ do Kraśnika została przeniesiona siedziba połączonego powiatu. Wspólnie z kolegami Brydakiem i Maikiem działaliśmy w Powiatowej Komisji Oświaty i Kultury. Muszę powiedzieć, że jeśli chodzi o zagadnienia oświaty był wówczas jeden wielki wspólny front jedności. Dla każdego Polaka sprawa nauki była bardzo droga, wszyscy robili tak, by nie wpadli nauczyciele, by nie wpadły dzieci. Mieliśmy własne grono pedagogiczne, doszli do niego nauczyciele przesiedleni z innych terenów, a poza tym studenci. Nawet ci nauczyciele, którzy znaleźli pracę w administracji, tkwili duchowo w tej wielkiej robocie. Nerwowo by nie wytrzymali, gdyby nie mogli działać.

Obok tajnego nauczania, co było naszą pracą podstawową, wysyłaliśmy paczki dla naszych kolegów, aresztowanych przez hitlerowców i więzionych na Zamku Lubelskim, a ponadto pomagaliśmy materialnie ich rodzinom.

Mgr Henryk Brydak

— W Kraśniku była przed wojną tylko prywatna szkoła średnia: Gimnazjum i Liceum Towarzystwa Szkoły Średniej. Początkowo, po wkroczeniu hitlerowców, zajęcia zostały wznowione. Nie trwało to jednak długo: przed 11 listopada 1939 r. przyszedł do dyrektora burmistrz — Niemiec i kazał zamknąć szkołę. Pamiętam, zebraliśmy naszą młodzież, aby jej o tym oznajmić. Powiedzieliśmy wówczas: szkoła zostaje oficjalnie zamknięta, ale kto chce się uczyć nadal, niech się skontaktuje ze swoim wychowawcą. A między sobą my, nauczyciele, mówiliśmy: mamy piękne tradycje 1905 roku. Lekcje będą trwały nadal w warunkach konspiracji.

Po pierwszym okresie spontanicznej nauki nasza praca nabrała bardziej zorganizowanego charakteru. Stało się to z chwilą powołania Powiatowej Komisji Oświaty i Kultury, do której i ja należałem. Ponieważ pracowałem w magistracie, łatwo mi tam było wśród urzędowych papierów ukryć materiały dotyczące tajnego nauczania. Z egzaminami przeprowadzanymi w terenie też różnie bywało. Trudne były zwłaszcza powroty do Kraśnika. Niekiedy mieliśmy partyzancką eskortę.

Mgr Stanisław Speruda

— Ja, podobnie jak mgr Doroszewski, zajmuję się naukowo tajnym nauczaniem. Chciałbym kilka słów dorzucić na temat powiatu janowsko-kraśnickiego. 31 października 1939 r. gubernator Frank wydał zarządzenie zabraniające używania nazw „gimnazjum i liceum" jakimkolwiek szkołom w Generalnym Gubernatorstwie. W związku z tym już na początku listopada tego roku zostały zamknięte szkoły średnie w Janowie i Kraśniku, około 570 uczniów zostało w ten sposób pozbawionych możliwości kontynuowania dalszej nauki. Niedługo potem, w grudniu 1939 r., okupant usunął z programu szkół powszechnych naukę historii, geografii i literatury polskiej. Organizowane wówczas tajne nauczanie było z jednej strony wynikiem patriotycznej i oddolnej inicjatywy nauczycieli, z drugiej koniecznością, wynikającą z ciężkich warunków, w jakich znalazły się rzesze nauczycieli i inteligencji. Formy organizacyjne tajne nauczanie przyjęło w kwietniu 1940 r., kiedy to w Kraśniku powołano do życia Powiatową Komisję Tajnego Nauczania. Komisja ta opierała swą działalność w terenie na delegatach gminnych TON, którymi w większości byli przedwojenni aktywiści związkowi.

Oprócz Kraśnika, gdzie nauczano najwięcej młodzieży w zakresie szkoły średniej, tego rodzaju praca rozwinęła się i w takich miejscowościach jak Dzierzkowice, Olbięcin, Urzędów, Zakrzówek, Modliborzyce, Ulanów, Radomyśl, Krzyna i inne. Oprócz nauczycieli szkół średnich w tych miejscowościach znaleźli się w czasie okupacji studenci i absolwenci liceów ogólnokształcących. Oni to wzięli udział w pracy oświatowej aż w 10 gminach na 22 istniejące w tym czasie. W pozostałych gminach też trwało tajne nauczanie na poziomie średniej szkoły. Prowadzili je nauczyciele szkół powszechnych, którzy okazali się również dobrymi fachowcami.

Obok tajnego nauczania, które przybrało formy zorganizowane, było również tajne nauczanie nie zorganizowane, stanowiące niejakie uzupełnienie pracy oświatowej prowadzonej przez TON.

Ażeby obraz był pełniejszy, można jeszcze wspomnieć o śladach pracy oświatowej wśród dorosłych. Ta forma rozwijała się w Dąbiu, Wólce Tanewskiej, Bielinach i Branwi. W Dąbiu np. miejscowy nauczyciel, Jan Pietras, prowadził Niedzielny Uniwersytet Ludowy. Na jego program składały się zagadnienia rolnicze, historyczne i społeczne.

Była już tutaj kilkakrotnie mowa o egzaminach przeprowadzanych w poszczególnych kompletach. Właśnie obecny tutaj kol. Henryk Brydak był przewodniczącym Tajnej Komisji Egzaminacyjnej w Kraśniku. Egzaminy odbywały się dwa razy w roku. Pierwszy egzamin dla 27 uczniów spoza Kraśnika odbył się w lipcu 1941 r. w Dzierzkowicach Rynku, ostatni — 15 czerwca 1944 roku w Zaklikowie, gdzie zdawało 42 słuchaczy.

Józef Kusz

— Wspominano tu o tajnym nauczaniu nie zorganizowanym. Właśnie mój zespół, który prowadziłem w Wojsławicach, w pow. chełmskim, należał do takich. Najpierw nauczałem w szkole powszechnej pod nadzorem Niemców. Oficjalnie można było korzystać z pisemka „Ster". Pisemko leżało więc na ławkach, ale ja znacznie wychodziłem poza nakreślony program. W 1942 r. szkoła została zajęta przez wojsko niemieckie i nauka mogła się już odbywać tylko w warunkach konspiracji.

Prowadziłem komplety tajnego nauczania w zakresie I i II klasy gimnazjalnej. Ogółem uczęszczało nań 9 osób. Uczyłem sam, musiałem więc być omnibusem. Nauka odbywała się w dwóch miejscach — w mieszkaniu rodziców jednego z uczniów i na plebanii; po aresztowaniu ks. Kozaka Niemcy tu nie zaglądali. Na zapleczu plebanii były sady i łąki, w razie niebezpieczeństwa można było w porę uciec. Pewnego dnia jeden z moich uczniów, który przychodził z Poniatówki, został w drodze zaczepiony przez żandarma, który zainteresował się teczką. Na widok podręcznika do nauki języka niemieckiego pokiwał głową i powiedział „gut, gut". Przygoda skończyła się więc szczęśliwie.

Mgr Franciszek Szabelski

— Dwukrotnie byłem aresztowany przez Niemców. Przebywałem w słynnej kaźni gestapo „Pod zegarem", topili mnie w wodzie. Żona dostała wyrok śmierci, ale ostatecznie wywieziono ją do Ravensbrueck. Kiedy 23 marca 1941 r. wydostałem się z więzienia, tajne nauczanie już było w Lublinie zorganizowane. Wziąłem w nim czynny udział pracując w różnych kompletach. Ogółem tygodniowo pochłaniało mi to do 50 godzin czasu, a przecież poza tym oficjalnie uczyłem w istniejących szkołach zawodowych. O tajnym nauczaniu w Lublinie można by mówić osobno. Materiałów jest bardzo wiele...

* * *

Redakcja „Kameny" serdecznie dziękuje uczestnikom spotkania. Zainteresowanych bliżej tajnym nauczaniem w Lublinie i na Lubelszczyźnie odsyłamy do publikacji Zarządu Okręgu ZNP w Lublinie „Rocznik Ogniska Nauczycielskiego", tom II (Wydawnictwo Lubelskie, 1969). Są tam interesujące artykuły Jerzego Doroszewskiego (Uwagi o zakresie i organizacji tajnego nauczania podczas okupacji hitlerowskiej na terenie niektórych powiatów Lubelszczyzny), Edwarda Olszewskiego (Szkolnictwo polskie na Lubelszczyźnie w świetle sprawozdań Departamentu Oświaty i Kultury Delegatury Rządu RP na Kraj), Edwarda Krawczyka (O tajnym nauczaniu w Lublinie w zakresie szkoły średniej ogólnokształcącej w latach okupacji hitlerowskiej), Leszka Siemiona (Nauczyciele Lubelszczyzny w walce z hitlerowskim okupantem).

Wiesław Sadurski

O 7-ej rano

o 7-mej rano zaczyna się noc
w chmurach
tytoniowego dymu
ziemia
wiruje szybciej
stalowe osie
pędnych kół
podają sobie
tłum
sztafetą
coś
przenika
moje serce
rodzi się
w ustach
głos
syren
mowa religia
wzywa rozrzuconych
w rozpadających się chemicznie
pokojach w ucieczce
przed dniem dzisiejszym z ostatnim
papierosem przypalonym od
przedostatniego
papierosa z ostatnią
kobietą coś rodzi się
z szelestem
rozsuwanych kotar ze szczękiem
fabrycznych bram
mury
obluzowują
sploty mięśni
z łoskotem
mechanicznych modlitw
coś
materializuje
pośpieszne nadzieje rącze
pragnienia
w słonecznych upławach chaotycznych
jękach
nadaje
drobnym drośnięciom
rangę ran świata
otwiera
dalekie okna
szkarłatny blask
pieców blask narodzin oko
obrzeżone ciemnością rodzaju
wszystkie uśpione niepewne
możliwości
serca
wszystkie bramy ulice środki
katastrofalne usta
sezonów ośmiolufowe
sprzężone źrenice
zerkają ku naturze
przy naciśnięciu spustu
szybciej
toczą się koła kroczą
stopy pędzą
pociągi
i krew
toczy się
wolniej

przez otwarte okna
metaforyczny
bóg cywilizacji
kładzie na nozdrza ciężki tampon
spalin

i zaciągam się mocno
aż do bólu w piersiach
niedopałkiem
słońca

(Z mającego się wkrótce ukazać nakładem „Czytelnika" tomu pt. „Dowód na braterstwo")

Mówi rektor WSI doc. inż. Stanisław Podkowa

Najmłodsza i jedyna w województwie uczelnia techniczna, Wyższa Szkoła Inżynierska, nie jest już najmniejszą. Po pierwszych latach chudych, gdy jakby na marginesie naszego życia wegetowała w kilku wypożyczanych salach szkolnych, teraz rozwija się gwałtownie.

— Należymy do kilku największych WSI w Polsce — mówi rektor, doc. inż. Stanisław Podkowa. — W ciągu najbliższych lat liczba studentów będzie się jednak utrzymywała na pozomie obecnym czyli około 3000, w tym ponad 1300 na studiach dziennych. Jest to związane z bazą lokalową, która ulega stałej rozbudowie, ale na następne efekty trzeba jeszcze poczekać. Dotychczas wydaliśmy 1281 dyplomów inżynierskich. Nie jest to jeszcze zbyt dużo, ale tempo gwałtownie wzrasta, bo np. tylko w bieżącym roku wydaliśmy 344 dyplomy. Każda z naszych dużych fabryk przemysłu maszynowego posiada już ponad 100 wykształconych u nas inżynierów, a większość z nich zajmuje odpowiedzialne stanowiska. W FSC dwóch zastępców dyrektora to nasi absolwenci, w świdnickiej WSK prawie wszystkie stanowiska kierownicze w poszczególnych wydziałach są obsadzone przez naszych wychowanków. Zdarza się, że po zdobyciu dyplomu niektórzy zmieniają miejsce pracy, ale najczęściej odbywa się to w ramach województwa. Jak się orientuję, tylko około 10 proc. absolwentów wyjechało poza granice Lubelszczyzny.

— Z wypowiedzi Pana Rektora wynika, że po roku 1974 uczelnia znowu się rozrośnie?

— Tak. Na inwestycje w najbliższej pięciolatce otrzymaliśmy 120 mln zł. Poza ministerstwami Budownictwa i Komunikacji, które już od lat nam pomagały, zyskaliśmy nowego sojusznika: Ministerstwo Przemysłu Maszynowego. Dotychczas zakłady tego resortu z naszego województwa także bardzo nam pomagały, ale raczej na własną rękę. Wybudujemy budynek o kubaturze 45 tys. m sześciennych dla Wydziału Mechanicznego, drugi o kubaturze 30 tys. m sześciennych dla Wydziału Budownictwa Lądowego, rozpoczęliśmy właśnie realizację inwestycji socjalnych — dwa domy studenckie po 380 miejsc (pierwszy będzie gotowy w przyszłym roku), powstanie obiekt typu Chatki Żaka. To właśnie umożliwi dalszy rozwój uczelni.

— O prawidłowym rozwoju uczelni decyduje nie tylko baza lokalowa oraz liczba studentów, ale także, a może przede wszystkim kadra naukowa. Jak wyglądają te sprawy w naszej WSI?

— W ciągu ostatniego roku przybyło nam 6 pracowników naukowych z tytułami doktorów. Utrzymujemy ścisłe kontakty w zakresie dydaktyki i kształcenia kadr z politechnikami w Warszawie, Krakowie, Łodzi i Częstochowie. Stale dojeżdża do nas na zajęcia 5 profesorów i 4 docentów. Na jednoroczne przygotowawcze studia asystenckie przyjęliśmy właśnie 20 magistrów. Politechnika Warszawska rozpoczyna u nas studia doktoranckie dla 34 pracowników uczelni i 10 z przemysłu. Specjalna komisja senacka opracowała pięcioletni plan rozwoju kadry naukowej WSI. W 1975 roku będziemy mieli w porównaniu z rokiem obecnym dwa razy więcej pracowników naukowo-dydaktycznych, a doktorów i doktorów habilitowanych pięć razy więcej. Chciałbym jeszcze dodać, że wśród prac dyplomowych absolwentów ponad 300 tematów to problemy wzięte wprost z naszych fabryk.

— Nowa struktura wyższych uczelni nie dotyczy WSI, bo tu nigdy nie było katedr, a tylko zespoły problemowe, które pozostają nadal. Ale szybki rozwój techniki nie pozwala chyba czekać z tworzeniem nowych kierunków nauczania aż do roku 1975?

— Dlatego przygotowujemy uruchomienie już z początkiem przyszłego roku akademickiego nowej specjalności (w ramach Wydziału Elektrycznego) — elektroniki z automatyką przemysłową. To jeden z najbardziej dotąd deficytowych kierunków w Polsce. Bez specjalistów z tej dziedziny nie mogą się obejść już nawet fabryki średniej wielkości, każda nowoczesna obrabiarka to problemy związane z elektroniką.

— Podobne nadzieje wiązaliśmy niedawno z uruchomieniem specjalności eksploatacji pojazdów samochodowych...

— Absolwenci tego kierunku znajdują pracę, ale gdy patrzeć na sprawę od strony stypendiów fundowanych, trudno być optymistą. Takie przedsiębiorstwa i organizacje jak PKS, TOS, PZMot, Automobilklub czy MPK (poza lubelskim) jakby się broniły przed naszymi absolwentami. A wszyscy wiemy, że poziom usług w tym zakresie jest wciąż mocno krytykowany.

— Jak Pan Rektor ocenia tegoroczne egzaminy wstępne?

— Z tych, którzy się zgłosili, połowa zdała zadowalająco, a przyjęliśmy około 40 proc., otrzymując nawet z ministerstwa dodatkowo kilkanaście miejsc. Chyba najgorzej wypadły egzaminy pisemne z matematyki — połowę oceniono na dwójkę. Wbrew przewidywaniom, wynikającym z braku tegorocznych maturzystów, wymagania związane z techniką muszą rosnąć a nie maleć. Podczas egzaminów ustnych z matematyki okazało się, że tak źle nie jest, bo problem polegał nie tyle na braku wiadomości, ile na braku samodzielności w myśleniu, na braku umiejętności syntetyzowania różnych wiadomości. I wciąż występuje niski poziom w językach obcych. O jedno i drugie trzeba mieć pretensje do szkoły średniej. Ci, którzy zostali przyjęci, ale nie zdobędą tych umiejętności w krótkim czasie, będą mieli poważne kłopoty w czasie studiów.

— A jak z płcią nie tyle słabą, co piękną?

— Dla kobiet nie ma żadnych ograniczeń, wśród nowo przyjmowanych stanowią one około 20 proc. Przeciętnie biorąc są solidniej przygotowane, lepiej zdają. Szczególnym powodzeniem cieszy się budownictwo, z perspektywą pracy w biurach projektów, laboratoriach, służbie dyspozycyjnej przedsiębiorstw.

Rozmawiał
Jerzy Dostatni

Musimy swoją Ojczyznę
pachnącą różami i chlebem
wprzód nakryć
własnym sercem
jak gdyby drugim niebem

JAN POCEK

Zapole

Nr 3 (12) 25 X 1970 Rok IV

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy — Ośrodek Lubelski przy ZW ZMW

Roch Sęczawa

Sprawozdanie z podłączenia światła

Z niedowierzaniem przekręcił kontakt
Znowu i znowu przekręcił, rozejrzał się po ścianach.
— Stara, śmiać się chce — powiedział — zobacz:
Matka Boska jakby nadąsana!...

Jerzy Chłodnicki

rodzinka

uderz siekierą we framugę a żona ci syna z zajęczą wargą urodzi
kapusta zajęcza szczaw kozłek lekarski
kosi kosi łapci stary
motylku zaciemniaszku
licz obłoki

zarzuć pasek na szyję ciężarnej a dziecko splątane będzie pępowiną
perz plącze trawę ziemniaki oczyszcza z wody i nawozu
elemele dudki dziubku
byku
nie całuj

myszą postrasz ciężarną a dotknie miejsca w którym dziecka znamię
plama na słońcu poprzez gąszcz widziana
entelki pentelki klops dzieciaku
ojcze odlicz
dni twego szaleństwa

pokaż tego krasnala ciężarnej a skarleje dziecko
karłowata dziupla w cherlawym pniu dębu
baczność kolejno od
licz tłuściutki
spocznij

siostra z wargą zajęczą brat dusił się w pętli
kuzyn znamię ziemiste drugi karzeł brat
pieścimy się w stogu
w imię dojrzewania
uświadomieni

Krystyna Makuła-Trochimiuk

Przykro mi uciekam w holenderski haft

nie mam czasu na wersal
ani na ogródki
zatem obca wam jestem
wszędzie cudzoziemka
z rękawiczką gubię ważkie argumenty
zamysłu w słowo nie wikłam
bo mu tam okrutnie
zamiarom waszym przykro mi posłuszna
choć cóż począć tak wielce przeciwna
nikomu zmysłom jeno przypisana
co mnie przed się wiodą
prawem moim są postanowione
są też i przeczuciem
kiedy mi wszystkiego dobrego użyczacie
z uśmiechem tak źle odmierzonym
że tylko mi twarz ku ścianie obrócić
a oczy utopić
w gustownej makacie
z holenderskim haftem

Anna Buczek

Zgrzebną nicią haftowane

Zgrzebną nicią
haftowałam
dni szarych
makaty.

Rozkładałam je
przed Tobą
jak ptak
źdźbło trawy
przyniesione
na wspólne gniazdo.

Odszedłeś.

Nie oparła się
wiatrom
spokojna moja
przystań.

Jak włóczęga
bezdomny
po świecie
makaty swoje
noszę.

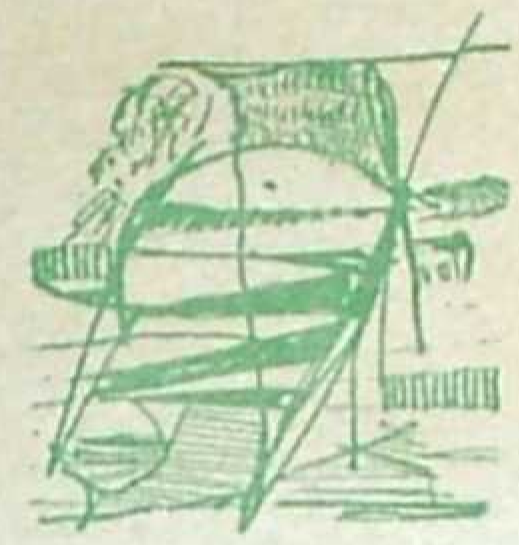

Stanisława Buszta

* * *

Długo błądzić przypadnie
w labiryncie myśli
przekroczywszy granicę
czerwieni i czerni
choćby nawet ogłuchnąć
jak pień Artemidy
przyjdzie pora szukać echa
co śpi w głuszy leśnej —

— tylko ból i cierpienie
niewymierne zostaną
w drzew konarach splecione
ze s z c z ę ś c i e m

Halina Górska

W krainie złudzeń

Słyszysz?
Ta noc jest dla nas przeznaczona
Dla splotu rąk
Uśmiechu warg

Nie nie odchodź, jeszcze świtu brak
Pozostań, choć moment
chwilę
Niech spojrzę jeszcze raz w twą twarz
by malarz odmalował w sercu
bez skaz twój cień
twe widmo

Dlaczego?
Dlaczego znikasz bezpowrotnie
Nie wstrzyma cię mój wzrok
Ma miłość bezgraniczna
Odchodzisz
i ja odchodzę
— z krainy złudzeń!

Dominik Opolski

Koło

Byłem już torturowany według najnowszych metod. To bardzo atrakcyjne postawienie kroku.
Doświadczenia na ludziach...
...czynią ze mnie tego, który je wymyślił —

Młodzi i najmłodsi

Happening w Lublinie

Nachodzę przyjaciół i namawiam: popatrzcie na modę! Empiyoński pisze wiersze w słupku, ty naśladujesz Różewicza, on zachwyca się Przybosiem, a to wszystko niemodne! Happening by się przydał. Gdzie, jak, kiedy? — W Lublinie. W Bramie Krakowskiej. Albo na Placu Litewskim. Miejsce koniecznie ruchliwe. Kilku poetów nonkonformistów, trochę płótna, prześcieradeł, bandaży i farby. Oni piszą, a raczej malują swoje wiersze na rozpiętych płótnach, a tłum uczestniczy w procesie tworzenia, cieszy się, skupia wokół poetów i p o e z j i, aż miło!

Dla świętego spokoju trzeba by załatwić zezwolenie na organizowanie zbiegowisk i... sztuka trafia do mas. (Tylko skąd pieniądze na prześcieradła, farby? — Może od mecenasów almanachów?).

Mogła krakowska grupa TERAZ zorganizować wystawę fotografii swych wierszy, czemu w Lublinie nie wyprzedzić prowincjuszy? Przecież i u nas była stolica!

Tuba grupy, A. Zagajewski, głosi, gdzie może, istnienie noworodka. A o lubelskim KKMP, SAMSARZE, czy dostojnym Kole Młodych ZLP cicho, (nie licząc oczywiście „Pompowania pisarzy" Macieja Podgórskiego w „Kamenie" nr 17, które to pompowanie na dobre nam nie wyszło raczej, choć podobnie, jak T. Klak, nie zgadzamy się z tezami autora).

Tymczasem TERAZ w „Studencie", TERAZ w „Życiu Literackim", TERAZ tu, teraz tam... A taka „Orientacja Hybrydy"? Wydaje się pismo „Orientacja", a w każdym numerze suplement. Ładny suplement. Szary papier pakowy (proponuję, by w Lublinie pójść dalej niż koledzy z Warszawy — drukować wiersze na papierze toaletowym i sprzedawać wiersz po złotówce za sztukę). Tanie to, bezpretensjonalne, a jakże sensowne. Tylko czy autorzy ci, o których chodzi w ZSP? I dlaczego wszyscy z Warszawy, skoro pismo ogólnokrajowe? Gdyby nie zasada „popierajmy się", o „Hybrydach" byłoby cicho. I gdyby nie Leszin! Denerwujące to pisanie o sobie na przemian: Stachura o Markiewiczu, Markiewicz o Gąsiorowskim, Gąsiorowski o Bordowiczu, Bordowicz o Żernickim i tak dalej w tonie wzajemnej chwalby i popularyzacji. A swoją drogą kto ma o młodych pisać, jeśli nie oni sami? Ale coś się dzieje! Słychać, że ktoś myśli, ktoś działa, ktoś komuś dał w twarz. Młodzi istnieją. Akcja toczy się w wielu płaszczyznach, a najważniejsza to krytyczno-literacka. W tej atmosferze krystalizują się poglądy i tylko czekać, jak wyraźnie odskoczy od towarzystwa wzajemnej adoracji Krzysztof Gąsiorowski, który coraz ciekawiej realizuje swoją postawę twórczą.

TERAZ, Orientacja, Ugrupowanie 66 — etykietki wywoławcze w środowiskach młodych pisarzy. Można by wymienić jeszcze z piętnaście innych. Czym są sobie bliskie? Czym się różnią?

Trzeba znaleźć punkty odniesienia między nimi i wobec nich. Róbmy więc happening... Zaręczam, że udziwnimy świat — no, może tylko jedną ulicę — jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na parę godzin! Bo grunt to moda.

LAXIGEN

Kamena str. 4

Jerzy Jedziniak

Południe nad Wisłoką

Już Południce ciągną sznury dzwonów
ruszyły z wolna pagóry do tańca
kosę Wisłoki w wikliny rzuconą
ostrzy wiatr lekki jak rybę do słońca

Pod zadziwionym aż po błękit niebem
żniwiarzy popołudniowanie
i prom przystanął bo niepewny siebie
w wesela snopów przeprawie

— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

Południa porę komuś biją dzwony
więdnące kwiaty o ratunek proszą
w bielonej chacie dzisiaj wszystkie tony
spiżu i słońca ostatni raz goszczą

Szpaki z wyraju gotowe do lotu
jaskółki są z nimi w zmowie
w oczach ikony dziś tyle kłopotu
jak zamknąć te oczy słowem?

Rys. D. Opolski

Redaguje Zespół:

1. Jerzy Jedziniak
2. (______________) na urlopie
3. (______________)

Notujemy

„Twórczość" w numerze majowym umieściła notę Tadeusza Nyczka przypominającą [illegible] literackiemu w Krakowie i jego grupach literackich. Zauważono istnienie grup: „Teraz", „Sar" i „Tylicz", (por. „Zapole" nr 11 — uzupełnić wykaz grup). Nota nosi tytuł „Razem — czy osobno?" Czyżby T. Nyczek nie znał „Ody do młodości"?

• • •

Przypomniała się SAMSARA (por. „Zapole" nr 11 — pominięta wśród 7-literowych). W „Kamenie" umieszczono wstęp do manifestu grupy i wiersze podpisane wspólną nazwą: „Samsara". Kto ciekawy znaczenia słowa, niech szuka w hinduizmie. Na gruncie polskim tego jeszcze nie było w ostatnich latach: zrezygnowano z nazwisk na rzecz grupy. J. Kornhauser („Życie Literackie" 46/69) — znawca mody literackiej — pisał o tworzeniu grup w imię obrony przed anonimowością i powszechną standaryzacją. Czyżby w Lublinie było inaczej?

• • •

Ostatnie przed kanikułą spotkanie lubelskiego ośrodka KKMP odbyło się 18 czerwca br. Marian Grześczak z Warszawy i Maciej Podgórski z „Kameny" stworzyli tandem ludzi dorosłych, zaniepokojonych niepokojem czasów niepokojonych nadmiarem braku niepokojących i adekwatnych do niepokoju ludzkości wierszy, oddających niepokój humanistów, a podejmujących pokojową walkę z technokracją. Nastrój był strasznie niepokojący. Nikt nie był w stanie oponować!

„To tylko cukier syrop karmel" Krystyny Makuły-Trochimiuk zrobił karierę! Nasza poetka doczekała się popularności nie tylko na spotkaniu autorskim w Domu Chłopa, ale i w plebiscycie „Zapola". Na spotkaniu reagujący spontanicznie tłum podesłał jej w dowód uwielbienia dwa graficzne wizerunki (jeden publikujemy na prośbę zainteresowanej). Tenże tłum, powodowany widać ogłoszonym przez nas plebiscytem na najlepszy wiersz „Zapola", podjął zbiorowe działanie organizacyjne, wysyłając z poczt Warszawy i Lublina kilkadziesiąt głosów ZA, co dało autorce pierwsze miejsce w plebiscycie. Obawiamy się jednak, że to tylko... cukier, syrop, karmel, bowiem daty, godziny nadania i numer poczty, a gdzieniegdzie też charakter pisma, są identyczne zarówno w obrębie kart z Lublinia, jako też z Warszawy. Kolega Stanisław Żurek zajął II lokatę na podobnej zasadzie. W tej sytuacji, powodowani niecnymi podejrzeniami, n i e przyznajemy nagrody książkowej żadnemu z uczestników plebiscytu. Notabene pobieżnie obliczony koszt kart wysłanych ku pokrzepieniu naszej poetki przekracza trzykrotnie wartość nagrody książkowej wyznaczonej za udział w plebiscycie.

• • •

Kronikarski obowiązek każe nam odnotować imprezę małą, ale miłą. W trakcie ostatniego spotkania KKMP w Lublinie odbył się „Turniej jednego wiersza", w którym symboliczne nagrody (bony książkowe) — decyzją nietypowego, bo dwuosobowego jury w składzie: red. red. M. Grześczak i M. Podgórski — otrzymali: I — Roch Sęczawa za wiersz pt. „Sprawozdanie z podłączenia światła", II — Jerzy Chłodnicki za wiersz pt. „Rodzinka" i III — Krystyna Makuła-Trochimiuk za wiersz pt. „Przykro mi uciekam w holenderski haft". Aby umożliwić Czytelnikom własną ocenę turnieju, publikujemy obok wszystkie biorące w nim udział wiersze.

• • •

Po raz pierwszy w Lublinie w księgarni Klubu MPiK pojawił się w sprzedaży tomik wierszy Krystyny Makuły-Trochimiuk „Po tym wszystkim soczystym". Tomik sprzedawany jest z dwuletnim opóźnieniem. Lepiej późno niż wcale!

• • •

Stanisław Adamczyk, szef „Tygodnika Kulturalnego", wydał książkę „Twórcy i współtwórcy" (LSW 1970). Rzecz godna uwagi. Rozległe zainteresowania autora uwzględniają — obok wielu zjawisk ważnych w naszym życiu kulturalnym — także problematykę KKMP. Książką tą zapoczątkowujemy zbiory biblioteki „Zapola", nie przyznając nagrody we wspomnianym uprzednio plebiscycie.

• • •

Ogromnie nam przykro, że Jacek Bierezin, Andrzej Biskupski, Jan Janiak i Jerzy Jarmołowski zostali pominięci w naszym poprzednim numerze w naukowym kąciku Archiwisty. Zainteresowanych przepraszamy. Czytelników również, prosząc, by zechcieli dopisać w wykazie grup literackich z lat 1956—1970 — w miejscu siedmioliterowych, ale przed pominiętą „Samsarą" — nazwę CENTRUM.

• • •

N i e „wydaje się, żeby społecznie tolerowane możliwości produkcji małych poetów w naszym kraju były stanowczo za wielkie" (wbrew M. Podgórskiemu, „Pompowanie pisarzy", „Kamena" nr 17), aczkolwiek w IV tomie antologii współczesnej poezji chłopskiej „Wieś tworząca" z powodzeniem produkują się nasi koledzy: M. Karczmarczyk, J. Małek i inni.

• • •

W redagowanym przez Kazimierza Łojana magazynie literackim „Dobry wieczór", nadawanym w soboty o godz. 17.00 w programie Lubelskiej Rozgłośni Polskiego Radia, z powodzeniem prezentowane są aforyzmy kol. Mariana Karczmarczyka. Maluczko, a Łojan zaprezentuje nowy manifest poetycki „Samsary".

• • •

Nasi znakomici koledzy z KKMP w Łodzi wydali już drugi z kolei almanach pt. „Wiadukt". Historyk literatury znajdzie tu przede wszystkim wyczerpującą kronikę z ich działalności, a więc odpowiedź na pytania: kto, kiedy, gdzie, co, z kim i w jakich okolicznościach? Wydawnictwo Łódzkie może więc odnotować kolejną „mocną" pozycję.

Jubiler

Poznawcza funkcja sztuki

Dokończenie ze str. 1

fakcja estetyczna, ale trzeba przyznać rację Stagirycie, że satysfakcja poznawcza jest ważnym elementem przeżycia estetycznego, a jednym z głównych walorów sztuki jest jej wartość poznawcza.

Dzieło sztuki może zawierać informacje o epokach minionych, nie istniejących już pokoleniach ludzkich i kulturach, wartościowe pod względem poznawczym nie tylko dla przeciętnego czytelnika lub widza, lecz nawet naukowca. „Iliada" i „Odyseja" np. są dla badaczy różnych specjalności niewyczerpanym źródłem danych o ustroju państwowym, stosunkach ekonomicznych i społecznych, żegludze, handlu, kulturze materialnej, wierzeniach i obyczajach społeczeństwa antycznego.

Marks i Engels, którzy wysoko cenili twórczość Balzaka, podnosili m. in. wielokrotnie jej walory poznawcze. Marks nazywał nawet Balzaka doktorem nauk społecznych, a Engels stwierdzał, że w „Komedii ludzkiej" Balzaka, nawet w sensie detali ekonomicznych, dowiedział się więcej o epoce restauracji we Francji, niż z książek wszystkich historyków, ekonomistów i statystyków tego okresu razem wziętych. Mimo świadomej przesady, którą można dostrzec w tej wypowiedzi Engelsa, nie ulega wątpliwości, że jest ona wyrazem zasłużonego uznania uczonego wobec pisarza i wobec poznawczych możliwości literatury w ogóle.

Nietrudno zauważyć, że oba te przykłady są dobrane dość jednostronnie, dotyczą bowiem dzieł zawierających informacje o przeszłości dla nas bardzo lub dość odległej. Powstały one wówczas, gdy nauka nie istniała w ogóle, lub gdy szczegółowe nauki społeczne znajdowały się dopiero w początkowym stadium rozwoju.

W tej sytuacji, mogą więc zrodzić się dwie zasadnicze wątpliwości:

1. Czy istotę poznawczej funkcji sztuki stanowi dostarczanie konkretnych informacji, dotyczących różnych stron życia społecznego?

2. Czy również sztuka współczesna, posiadająca tak potężnych konkurentów w dziedzinie poznawania, jak nauka i masowe środki przekazu, ma znaczne walory poznawcze?

Można przecież powiedzieć, że twórczość Homera jest cennym źródłem wiedzy o jego czasach z konieczności, na zasadzie: „na bezrybiu i rak ryba", bo nauki ani np. prasy wówczas nie było. W czasach Balzaka natomiast, nauki społeczne dopiero się rodziły. Od czasów tych wiele się jednak zmieniło i można przypuszczać, że w XX wieku, wobec niezwykłego rozwoju badań naukowych i masowych środków informacji, poznawcza funkcja sztuki jest znikoma lub wręcz żadna.

Pierwsza wątpliwość jest bardziej uzasadniona. Dzieło sztuki bowiem rzeczywiście nie musi dostarczać rzetelnych i szczegółowych, a nawet specjalistycznych informacji dla ekonomistów, historyków i etnologów.

Drugą wątpliwość może w znacznej mierze rozwiać fakt, że sztuka XX wieku także dostarcza nam wiedzy o swych czasach. Nie ulega np. wątpliwości, że część naszej wiedzy o Rewolucji Październikowej w Rosji zawdzięczamy twórczości Szołochowa, Babla, Majakowskiego, Pudowkina, Eisensteina i innych wybitnych artystów, którzy byli świadkami i uczestnikami tamtych wielkich wydarzeń, chociaż nie możemy się przecież uskarżać na brak monografii lub podręczników historii, traktujących o tym okresie. Sztuce zawdzięczamy przede wszystkim wiedzę o atmosferze i ludziach tamtych czasów, ich problemach życiowych, konfliktach, rozterkach, tragediach, marzeniach i walce.

Dzieło sztuki, mówiąc o faktach historycznych oraz procesach i konfliktach społecznych, pokazuje je przez pryzmat losów i przeżyć konkretnych jednostek. Dzięki temu wiedza ta przekazana jest w sposób bardziej plastyczny, wyrazisty i żywy. Wydarzenia przedstawione są tak, że nie pozwalają nam zachować obojętności obiektywnych obserwatorów, angażują nas one osobiście, zmuszają do współprzeżywania losów i perypetii życiowych bohaterów i przez to do „współuczestniczenia" w nich. Dlatego też wiedza, osiągnięta tą drogą, zostawia w naszej pamięci trwalszy ślad, bo nie jest to wiedza o faktach tylko widzianych lub zasłyszanych, lecz o faktach, które pośrednio przeżyliśmy osobiście.

Lata 1917—1920 nie należą co prawda do zamierzchłej przeszłości, ale to także już historia. Czy więc sztuka może konkurować tylko z historią, będąc świadectwem minionych dni i pomnikiem dawnych obyczajów?

W drugiej połowie XX wieku przeżywamy niezwykły rozkwit różnorodnych form masowego przekazu, takich jak prasa, radio i telewizja. Możemy być informowani po upływie zaledwie kilku godzin o faktach, które miały miejsce w najbardziej odległych zakątkach kuli ziemskiej, co więcej, możemy dzięki telewizji obserwować szereg wydarzeń w trakcie ich stawania się.

Zastanówmy się jednak, czy bez takich filmów włoskich, jak np. komedie obyczajowe P. Germiego („Uwiedziona i porzucona", „Rozwód po włosku", „Piękny Antonio" itd.) oraz bez docierających do nas: włoskiej literatury, teatru, plastyki, nasza wiedza o Włoszech współczesnych, w szczególności zaś o obyczajowości i mentalności mieszkańców Sycylii oraz innych części Włoch południowych, nie byłaby mniej pełna, mniej naoczna i osobista? To samo można powiedzieć o roli filmu japońskiego czy szwedzkiego.

Sztuka nie tylko informuje o współczesnym życiu innych narodów i społeczeństw, sztuka pozwala lepiej zrozumieć ludzi innych kultur, tradycji, charakteru narodowego, mentalności, rasy itp. Zbliża nas do nich, do ich problemów, kłopotów i reakcji psychicznych. Zbliża nas do innych ludzi w sposób bardziej bezpośredni, osobisty, niż może to zrobić reportaż, artykuł publicystyczny lub zdjęcie dokumentalne.

Po występie zespołu pieśni i tańca Mojsiejewa w Nowym Jorku jeden z krytyków amerykańskich powiedział, że po obejrzeniu tego widowiska zrozumiał, dlaczego Rosjanie zwyciężyli w wojnie z Niemcami hitlerowskimi. Konkluzja ta może wydać się dziwna i zaskakująca, bo co taniec i pieśń mają wspólnego z postawą na wojnie? Ale właśnie w twórczości ludowej ujawniają się prawdziwie i wyraziście te osobliwości charakteru narodowego, które znajdują również wyraz w postawie moralnej walczących żołnierzy.

Sztuka służy więc tym samym dziełu zbliżenia i zrozumienia wzajemnego między ludźmi i narodami. Dlatego też przeciwnicy tego zbliżenia nie popierają wymiany artystycznej.

Ani jednak wiedza o minionych epokach, ani też informacje o innych krajach, kulturach, ustrojach społecznych istniejących aktualnie, nie są tymi dziedzinami działalności poznawczej, w których sztuka ma do powiedzenia najwięcej, w których może w pewnym sensie konkurować z nauką i środkami masowego przekazu. Dziedziną, w której ma największe szanse, jest świat niepowtarzalnych ludzkich osobowości oraz sytuacji i stosunków zachodzących między konkretnymi jednostkami.

Gorki mówił, że literatura jest „człowiekoznawstwem", a Balzak nazywał ją „historią ludzkiego serca". Wydaje się, że określenia te nie przestają być aktualne w stosunku do innych form sztuki. Jeśli wiedza, którą daje sztuka, może być przydatna dla naukowców, to są nimi przede wszystkim psychologowie, pedagogowie i filozofowie. Mówi ona bowiem wiele o życiu wewnętrznym człwieka, o jego myślach i marzeniach, uczuciach, skłonnościach, dążeniach, konfliktach i rozterkach, o jego radościach i cierpieniach, wzlotach i upadkach, szlachetności i podłości, pięknie i brzydocie.

Wśród wybitnych twórców, którzy zdawali sobie z tego sprawę, Balzak i Gorki nie byli odosobnieni. L. Tołstoj pisał np., że sztuka jest mikroskopem skierowanym na tajemnice duszy artysty i tym samym tajemnice duszy człowieka w ogóle. Uważał on, że jest ona obok mowy głównym środkiem komunikowania się ludzi. W odróżnieniu od słów, przekazujących przede wszystkim myśli i doświadczenia, sztuka pozwala ludziom utrwalać i przekazywać sobie nawzajem uczucia.

Podobnie wysoko cenił walory poznawcze sztuki Bolesław Prus, który uważał, że „takie charaktery jak Makbet, Falstaff i Don Kichot, są odkryciami tyle przynajmniej wartymi w dziedzinie psychologii — co prawo obiegu planet w astronomii".

Wiedza, którą zawdzięczamy sztuce, najczęściej jest więc wiedzą o przeżyciach człowieka i całokształcie stosunków międzyludzkich.

To prawda, że istnieje cały szereg różnych nauk o człowieku, ale każda interesuje się człowiekiem nie w sposób całościowy, lecz tylko z jakiegoś określonego punktu widzenia, wyłącznie w pewnym aspekcie, pod pewnym względem. Wyjątkiem jest antropologia filozoficzna, która interesuje się człowiekiem syntetycznie, ale wiedza filozoficzna jest z natury rzeczy abstrakcyjna. Abstrakcyjne w pewnym sensie jest całe poznanie naukowe. Nauka dąży bowiem do uogólnień, odkrywa ogólne zależności i utrwala rezultaty swych dociekań w abstrakcyjnych pojęciach, formułach i schematach. Za to właśnie krytykował poznanie naukowe Bergson. Uważał on, że nauka abstrahując i schematyzując, gubi istotę rzeczy, czyli zmienność i niepowtarzalność zjawisk rzeczywistości. W rezultacie obraz rzeczywistości dawany przez nią nie jest wcale obrazem wiernym, jest to raczej deformacja i karykatura rzeczywistości.

Przyrodnicy mogą bez racji ignorować lub zlekceważyć bergsonowską krytykę nauki, nie sądzę jednak by z czystym sumieniem mogli to zrobić humaniści. Niepowtarzalność jest bowiem istotną cechą osobowości i stosunków międzyludzkich. Przeżycia i losy ludzkie nie mieszczą się w abstrakcyjnych i precyzyjnych formułach i pojęciach nauki. Sztuka posiada większe możliwości informowania o zjawiskach indywidualnych i niepowtarzalnych. Przekazuje ona wiedzę o człowieku, historii i społeczeństwie w sposób zindywidualizowany, wcale nie rezygnując przy tym z uogólnień.

Nie ulega wątpliwości np. że obraz psychiki ludzkiej, skonstruowany przy pomocy naukowej aparatury pojęciowej jest bardziej schematyczny, mniej pełny i subtelny niż obraz psychiki, jaki znaleźć można w powieściach Dostojewskiego, Joyce'a, Faulknera lub w filmach Bergmana i Feliniego. Przyznają to zresztą nawet niektórzy psychologowie.

Z faktu tego zdają sobie dobrze sprawę te kierunki filozoficzne, które, jak egzystencjalizm, przedmiotem swych zainteresowań czynią jednostkową egzystencję ludzką. Dlatego

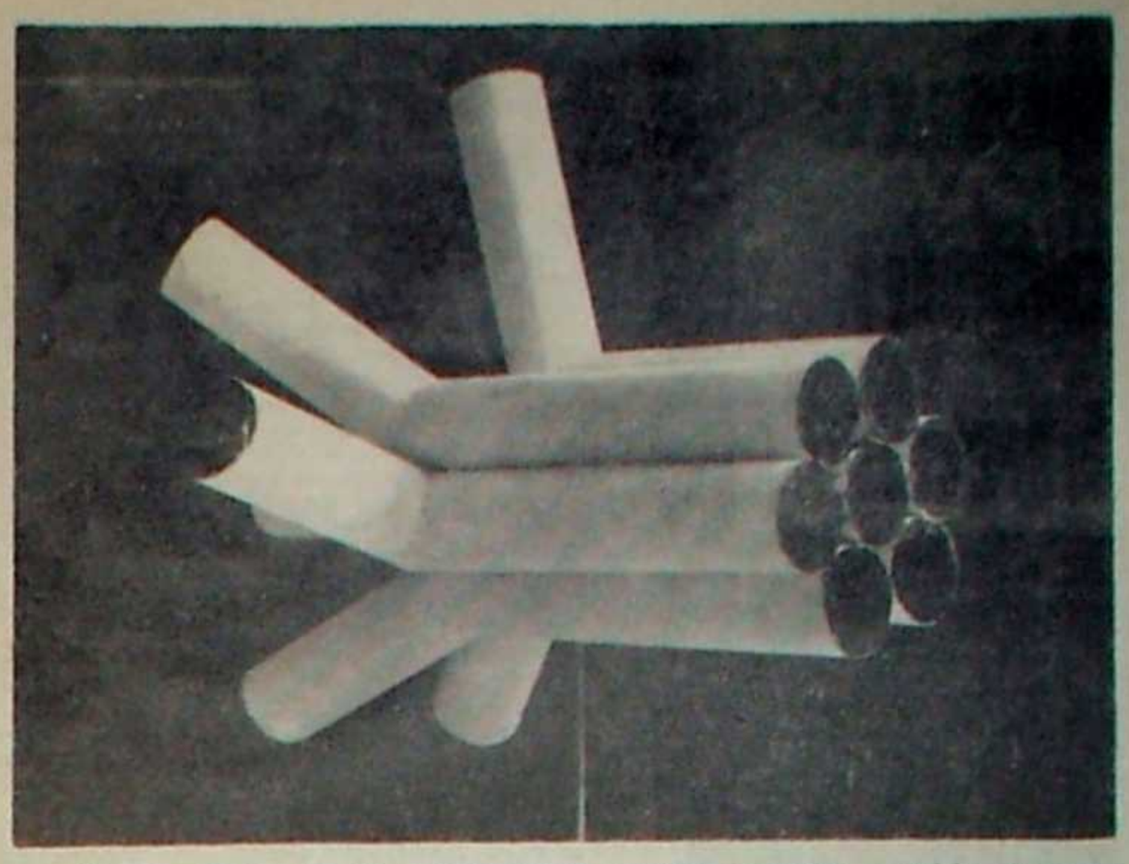

Zbigniew Dłubak, Natalia Lach-Lachowicz, Andrzej Lachowicz — obiekt plastyczny, Sympozjum „Wrocław 70". Fot. M. Diament

też egzystencjalizm tak często (właściwie programowo) odwołuje się do artystycznych form utrwalania i przekazywania swych spostrzeżeń i refleksji dotyczących człowieka i życia ludzkiego.

Poznawcza funkcja sztuki nie sprowadza się jednak wyłącznie do wzbogacania przez nią zasobu naszej wiedzy i do oferowania nam informacji i gotowych prawd. Sztuka daje człowiekowi możliwość wzbogacenia doświadczenia poznawczego i doświadczenia życiowego w ogóle, daje też szansę rozwijania i doskonalenia władz poznawczych takich jak zmysł obserwacji, zdolność analizowania, interpretowania i oceniania czynów i postaw człowieka oraz stosunków międzyludzkich. Artysta zna prawdę o życiu swych bohaterów, ale nie ujawnia jej od razu, zmuszając nas do poszukiwania jej w rzeczywistości przedstawionej w jego utworze. Odbiorca zawsze w jakiejś mierze sam musi dokonać procesu poznania, sam dociekać prawdy, przynajmniej w części samodzielnie interpretować przedstawione zjawiska i wysnuwać wnioski. Sztuka rozwija więc zdolności poznania potocznego: umiejętności obserwowania ludzi, poznawania ich rzeczywistych postaw, charakterów i sposobów reagowania, uczy odnajdywania pod maskami pozorów rzeczywistego oblicza ludzi i zjawisk społecznych. Sztuka jest więc jak gdyby podręcznikiem doświadczenia życiowego dla samouków, w którym znaleźć można właściwe odpowiedzi, konfrontując z nimi własne obserwacje, wnioski i rozwiązania i korygując popełnione błędy bez konieczności pokutowania za nie, czego w życiu często trudno uniknąć. Lekcje dawane przez samo życie trwają dłużej i są bardziej kosztowne; za zdobycie nowej, głębszej wiedzy o świecie i ludziach i skorygowanie dotychczasowych zbyt powierzchownych poglądów, trzeba zapłacić niekiedy wysoką cenę.

Sztuka uczy więc, jak w konkretnych sytuacjach życiowych i czynach ludzkich odróżnić prawdę od fałszu, istotę od pozorów. Pokazuje powiązania tego, co ogólne, z tym, co jednostkowe, powiązania istoty i zjawiska. Umożliwia nam również zapoznanie się z sytuacjami życiowymi, w których nie chcielibyśmy się znaleźć naprawdę oraz zjawiskami, których nie chcielibyśmy doświadczać w życiu (np. przeżycie człowieka torturowanego, czy skazanego na śmierć, odczucia mordercy lub jego ofiary).

Jednym z elementów doskonalenia zdolności poznawczych i wzbogacenia doświadczenia poznawczego człowieka jest doskonalenie jego wrażliwości emocjonalnej, jego odczuć i intuicji.

Wbrew dość powszechnemu poglądowi doznania zmysłowe i refleksje nie są jedynym źródłem wiedzy o rzeczywistości. Nie ulega wątpliwości, że również emocje są nosicielami istotnych informacji o świecie zewnętrznym.

Tak proste emocje jak zadowolenie przy napotkaniu zjawiska pożytecznego i niezadowolenie lub strach przy zetknięciu się ze zjawiskiem szkodliwym, zawierają informacje życiowe bardzo ważne dla każdego zwierzęcia, pomagają dostosować się do zaistniałej sytuacji.

Nie tylko jednak dla zwierząt, lecz także dla człowieka dwudziestego wieku, posiadającego wyspecjalizowany aparat poznawczy, emocje i odczucia intuicyjne muszą być czasem wystarczającymi danymi dla podejmowania ważnych decyzji. Najczęściej ma to miejsce w sferze stosunków międzyludzkich. Przy ocenie innych ludzi, przy wartościowaniu ich postaw, zachowań, charakterów i uzdolnień, z reguły odczuwamy deficyt pewnych i wyczerpujących informacji, nie mamy i w zasadzie nie możemy mieć pełnej wiedzy o tak skomplikowanym przedmiocie oceny, a mimo to decyzja powinna być podjęta, z konieczności więc zmuszeni jesteśmy opierać się również na naszych subiektywnych odczuciach. W sytuacji takiej znajduje się często egzaminator. W ręku jego spoczywa niekiedy los innego człowieka, który być może ze względu na wyjątkowo trudną sytuację życiową zasługuje na wyrozumiałość, zrozumienie, a nawet odstępstwo od przyjętej procedury, reguł postępowania lub kryteriów oceny, może być jednak również wyjątkowo cynicznym hochsztaplerem i utalentowanym komediantem. W sytuacjach równie trudnych ze względu na deficyt informacji znajdować się mogą prowadzący śledztwo, dowódca wojskowy, dyrektor przedsiębiorstwa, czy działacz społeczny.

Nie tylko więc na eksperymencie, obserwacji i rozumowaniu logicznym opiera się człowiek w swej aktywności życiowej i działalności społecznej.

Wobec emocji, odczuć i intuicji, jako środków poznania, można oczywiście wysunąć szereg uzasadnionych zastrzeżeń, że są subiektywne, zawodne, trudno sprawdzalne. To prawda, że nie należy im wierzyć bezgranicznie i należy je kontrolować przy pomocy logiki i doświadczenia. 1) Nie ma jednak niezawodnych środków poznania, zmysł obserwacji i rozumowanie też zawodzą nas wielokrotnie. Pewien sceptycyzm i ostrożność są pożądane więc nie tylko wobec emocji i intuicji. 2) Faktem jest, że człowiek niejednokrotnie musi opierać się na zawodnych podstawach, jak emocje i odczucie, dlatego też pożądane jest, by maksymalnie doskonalił, rozwijał te uzdolnienia.

Jedną z najefektywniejszych form doskonalenia wrażliwości emocjonalnej człowieka jest systematyczne obcowanie ze sztuką. Emocjonalność, czyli zdolność przekazywania i wzbudzania emocji jest jedną z najistotniejszych cech sztuki.

Spróbujmy dokonać podsumowania tego, co zostało już powiedziane i odpowiedzieć bezpośrednio na postawione na początku pytania, dotyczące walorów i swoistości poznawczej funkcji sztuki.

Swoistość poznawczej funkcji sztuki nie sprowadza się wyłącznie do specyfiki artystycznych środków wyrazu, to znaczy, do faktu, że sztuka nie operuje abstrakcyjnymi pojęciami, formułami i wywodami, lecz obrazami artystycznymi, wyrażającymi uogólnienia w formie zindywidualizowanej. Dzięki temu sztuka przekazuje wiedzę o świecie w sposób bardziej atrakcyjny, sugestywny, dostępny, osobisty i frapujący dla odbiorców. Dlatego właśnie dzieła sztuki mają więcej bezpośrednich odbiorców niż traktaty naukowe. Wywołując w nas głębokie i syntetyczne (zmysłowo-emocjonalno-refleksyjne) przeżycie, wybitne dzieło sztuki zostawia trwalszy ślad w naszej osobowości i pamięci.

Swoistość jej polega także na tym, że daje wiedzę przede wszystkim o człowieku, jego życiu i stosunkach z innymi ludźmi. Ta wiedza o człowieku jest wiedzą syntetyczną, uwzględniającą różnorodne strony ludzkiego życia, od szczegółów ekonomicznych i procesów fizjologicznych — do najbardziej subtelnych uczuć i wyrafinowanych refleksji.

Wiedza, którą zawdzięczamy sztuce, jest w porównaniu z wiedzą naukową bardziej wieloznaczna, mniej precyzyjna i usystematyzowana i nie zawsze rzetelna. Sztuka może wreszcie dezinformować lub wypowiadać fałsze psychologiczne, historyczne czy polityczne, a w sztuce o wiele trudniej odróżnić prawdę od fałszu, niż w nauce. Fałszywe myśli i spostrzeżenia mogą być przekazywane przez sztukę w sposób bardzo sugestywny.

Z drugiej jednak strony, sztuka nie gubi niepowtarzalności spraw ludzkich, ich indywidualnego charakteru, unika ona bowiem nieodzownego dla nauki schematyzowania i zbytniej abstrakcyjności. Może ona dotrzeć do najbardziej głębokich, niejasnych i subtelnych drgnień i reakcji psychiki ludzkiej, nie zatracając ich niepowtarzalnego i osobistego charakteru. Właśnie w tej sferze sztuka może dość skutecznie rywalizować z nauką, docierając do zjawisk indywidualnych i przekazując wiedzę o nich bez uproszczeń i zniekształceń. Właśnie w tej sferze sądy sztuki mogą być w pełni odkrywcze, zupełnie niezależne od nauki.

Tak więc nawet w drugiej połowie XX wieku sztuka posiada autentyczne walory poznawcze i jakkolwiek nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę, gdyby jej nie było, to nasza wiedza o człowieku i jego świecie byłaby wiedzą uboższą. Sztuka w istotny sposób uzupełnia nauki humanistyczne. Natomiast jej realne możliwości poznawcze w stosunku do zjawisk stanowiących przedmiot badań nauk przyrodniczych i matematycznych są zawsze znikome. Tutaj ambicje poznawcze niektórych kierunków sztuki, np. kubizm (poznawanie materialnej struktury świata, czy mikrokosmosu) są niewspółmierne do nikłej wartości poznawczej rezultatów. Oczywiście fantastyczne pomysły artystów lub ich eksperymenty artystyczne nie przestały inspirować naukowców i techników także i w naszych czasach, jest to jednak trochę inny problem. Lekceważący stosunek fizyków i biologów wobec aspiracji poznawczej sztuki w ich dziedzinach na pewno jest w znacznej mierze uzasadniony.

Bohdan Dziemidok

Pisarz ukraiński o krytyce literackiej

W ROKU ubiegłym swoje 70-lecie obchodził znany pisarz kijowski, weteran ukraińskiej literatury porewolucyjnej — Borys Antonenko-Dawydowycz. Jest on autorem wielu utworów prozatorskich (w tym znakomitej powieści „Za parawanem"), które cieszą się zasłużoną popularnością na Ukrainie Radzieckiej. Twórczość tego pisarza jest także ceniona w innych republikach, albowiem szereg jego utworów przetłumaczono na język rosyjski, białoruski, łotewski i węgierski.

Borys Antonenko-Dawydowycz znany jest z wielu cennych szkiców literacko-krytycznych oraz artykułów poświęconych kulturze języka ukraińskiego. Najlepsze z nich zostały ostatnio wydane w książce „Z daleka i z bliska", która także zawiera ciekawe, oryginalne materiały o Tarasie Szewczence, Iwanie Neczuju-Łowyckim, Panasie Myrnym, Maksymie Rylskim oraz innych pisarzach ukraińskich.

Wartość książki „Z daleka i z bliska" podnosi cykl artykułów, w których ten doświadczony pisarz ujawnia szereg sekretów twórczości literackiej. Zwłaszcza godne uwagi są jego wypowiedzi na temat krytyki literackiej, zawarte w artykule „Krytyka i krytyka", skierowanym przeciwko krytykom, „którzy skazali siebie na wegetację zwierząt żywiących się tylko samą padliną i nie mających odwagi pokosztować świeżego mięsa".

Żaden krytyk, zdaniem Borysa Antonenki-Dawydowycza, nie powinien zapominać, że „dla krytyka nie może być takiej sytuacji, kiedy jest wygodniej zająć pozycję neutralną, ani za, ani przeciw jakiemuś zjawisku w literaturze".

W innym miejscu autor słusznie wskazuje, że „biorąc pod uwagę interesy całej literatury i jej poszczególnych przedstawicieli, krytyk zobowiązany jest stanowczo wykrywać wszystko to, co przeszkadza utworowi literackiemu stać się wartościowym, okazując taką humanitarność jak chirurg, który nie tylko zszywa uszkodzone części ciała ludzkiego, ale często dla uratowania samego życia człowieka zmuszony jest uciekać się również do amputacji!".

Borys Antonenko-Dawydowycz jest zdania, że „krytyk, jak każdy człowiek, może się mylić, bo, jak wiadomo, nie myli się tylko ten, kto nic nie robi, ale sfera, gdzie krytykowi zezwala się pomylić, jest bardzo ograniczona". I jeżeli „krytyk miał kiedyś mylne poglądy, które zmienił po długim namyśle i na skutek własnego wzrastania, wówczas powinien mieć odwagę, aby powiedzieć o tym publicznie i zrzec się tym samym grzechów swojej młodości, bo (...) tylko uczciwe przyznanie się do swoich błędów przywraca skompromitowanemu krytykowi utraconą reputację, a nie cierpliwe wyczekiwanie czasu, kiedy znów będzie można wrócić do swej brzydkiej roli".

Warto nadmienić, że identyczne poglądy na temat krytyki literackiej reprezentuje obecnie większość pisarzy Ukrainy Radzieckiej.

Stefan Demczuk

Marszałek Sejmu Czesław Wycech, podczas zwiedzania wystawy malarskiej, rozmawia z jej autorem, Henrykiem Zwolakiewiczem.

Henryk Zwolakiewicz

PRZEZ większą część swego dojrzałego życia Henryk Zwolakiewicz był nauczycielem w lubelskich szkołach, najdłużej, bo lat kilkanaście, w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych, a więc obracał się w sferach naszpikowanych regułami, zasadami, pouczeniami i normami. Metodyczność działania, wpajana mu w Seminarium Nauczycielskim w Szczebrzeszynie i utwierdzana w czasie późniejszych studiów uniwersyteckich, musiała przekształcić się w odruch niemal naturalny, ujawniający się na co-dzień wyraźną skłonnością do porządkowania faktów i zjawisk. Tych najbardziej powszednich i tych określających ludzką postawę wobec świata. Ale kilkadziesiąt lat pracy pedagogicznej nie urobiło go na wzór belferski, kojarzący osobistą receptę na życie z prawdą uniwersalną i ponadpokoleniową, obowiązującą najbliższe przynajmniej otoczenie.

Stało się tak chyba dlatego, że równolegle, przez ponad 40 lat Zwolakiewicz nie tracił kontaktu z tymi rejonami, w których swoboda wyobraźni, niezależność myślenia i tolerancja są czymś najważniejszym — z rejonami sztuki. I nie chodzi tu o ów kontakt niejako instytucjonalny, wynikający z nauczycielskich powinności w szkole plastycznej, czy też z faktu złożenia egzaminu pedagogicznego w warszawskiej ASP, ale o aktywną obecność na terenie lubelskiej sztuki. A znamy sporo przykładów niszczącego działania szkolnictwa nawet artystycznego na związanych z nim plastyków.

W jego biografii te dwie płaszczyzny działania nakładają się na siebie i przenikają, jedna wpływa na drugą. Czasami jednak stają — na planie życiowych konieczności — w opozycji, z której nie ma innego wyjścia, jak kompromis. Więc prawdą jest, że w artystycznym życiorysie Zwolakiewicza odnajdujemy okresy milczenia, po których przychodzą momenty niezwykłej aktywności twórczej. Niespokojna pogoń za czasem utraconym? Sygnalizacja prawdziwej hierarchii faktów jego życia, niemożliwej do utrwalenia za sprawą zewnętrznych okoliczności?

Pierwsze prace plastyczne Zwolakiewicza: drzeworytnicze okładki do czasopisma „Ognisko Nauczycielskie", redagowanego w latach międzywojennych przez Czesława Wycecha, który kierował równocześnie szkołą na lubelskim Kośminku. Jedynego bodaj pisma pedagogicznego w tamtej Europie, posiadającego ambicje i artystyczne; poza Zwolakiewiczem, wkrótce kierownikiem graficznym periodyku, wśród autorów okładek m. in. Wydra i Kłopotowski...

Znamienne to wejście Zwolakiewicza w plastykę, znamienne, bo dokonane przy pomocy techniki ciężko karzącej niezręczność dłoni, kokieteryjne niezdecydowanie. Jedno cięcie rylcem warunkuje następne miejsca autorskiej ingerencji w drewno — nie można odwołać raz położonego znaku. Można jednak porządkować powierzchnię klocka w znacznej rozpiętości czasu, można się zastanawiać, zmieniać koncepcję, dziś zrealizować jej część, jutro resztę.

Przy typografii pozostał Zwolakiewicz do dziś, jego akcydensy, okładki książkowe, exlibrisy czy plakaty, eksponowane na licznych wystawach, m. in. w Krakowie i Katowicach, wyrobiły autorowi opinię twórcy o dużej inwencji, bezbłędnie panującego nad tworzywem plastycznym, przed którym technologie drukarskie nie mają żadnych tajemnic. Skrępowany gustami zleceniodawców i niską na ogół jakością bazy typograficznej naszych drukarni, potrafił przecież dopracować się własnej stylistyki, wyróżniającej go spośród licznego zespołu grafików użytkowych.

Wówczas też, około roku 1929, zainteresowała Zwolakiewicza akwarela. Malował pejzaże, czy raczej pejzażyki, bo sam do tamtych widoczków nie przywiązuje większego znaczenia: „reprodukcje" — mówi. Ale nie o wartość artystyczną tych akwarel chodzi, lecz o samą technikę, polegającą na jednorazowej, szybkiej i spontanicznej operacji, sprawdzającej biegłość autorskiej ręki i jego wrażliwość.

Zwrócenie uwagi na te dwie techniki plastyczne, stosowane przez Zwolakiewicza w młodości, nie jest dziełem przypadku, i nie wynika wyłącznie z chęci zarejestrowania pierwszych prób plastycznych lubelskiego artysty, urodzonego w 1903 r. Swoista refleksyjność techniki drzeworytniczej oraz impulsywność akwareli — te dwie cechy pojawiają się w całym późniejszym dorobku malarskim Zwolakiewicza.

Wychowany w atmosferze polskiego koloryzmu, uległ tej totalnie swego czasu panującej tendencji tylko częściowo. Malował pejzaże, częściej jednak w pracowni, niż w plenerze. Tam robił tylko szkice i notatki, służące mu później pomocą przy realizacjach ostatecznych. Samo składanie barw w harmonijne kompozycje zdawało się nie wystarczać Zwolakiewiczowi. Pragnął również wyrażać treści osobistych doświadczeń i chyba dlatego właśnie wprowadził do obrazów deformujący postaci i przedmioty kontur, eksponujący je ponad granice elementów malarskiej gry. W ten sposób przedmioty i ludzkie sylwetki zaczynały znaczyć, zaczynały przekazywać pozaplastyczne intencje autora.

W czasie ostatnich dwóch lat opracował Zwolakiewicz kilka cykli akwarelowych, temperowych i w technikach mieszanych, które — mimo pozorów zerwania z wcześniejszym malarstwem — kontynuują w zasadzie tamte doświadczenia i skłonności, tyle że w bardziej współczesnym kostiumie stylistycznym, wprowadzonym zresztą nieprzypadkowo.

Są to w większości warianty głów ludzkich, czytelne najogólniejszą formułą, rozbite na podobne do siebie elementy, dramatycznie szeregowane, postrzępione, bezosobowe. Ta okrutna w wyrazie deformacja konstruuje pojemną metaforę zdezintegrowanej jednostki ludzkiej. „Dawniej człowiek spadał pionowo albo poziomo, dzisiaj spada we wszystkich kierunkach" — słowa pisarza są tu zresztą najlepszym komentarzem.

Malowane szybką, walorową plamą o wyrafinowanej kolorystyce, zatrzymane są w ruchu sprężystym konturem, albo grubą, obezwładniającą linią o malarskim charakterze.

Właśnie te cykle pokazał artysta na swej wystawie jubileuszowej — 40 lat twórczości — czynnej na przełomie września i października w salach lubelskiego BWA. Zanotujmy ich tytuły, jako że są to cykle niewątpliwie szczególnie ważne w dorobku Zwolakiewicza: „Fascynacje", „Konflikty", „Skojarzenia", „Oscylacje", „Konfrontacje", „Propozycje", „Adaptacje" i „Proporcje proste".

Jak zauważono, na ogół kontynuują one typ postawy twórczej i charakter wrażliwości ujawniony we wcześniejszym dorobku artysty. Skłonności ekspresjonistyczne zostały w nich jednak bardzo mocno spotęgowane i zdają się prowadzić autora w kierunku sztuki metaforycznej, co jest już zaczynem nowej wartości, niewidocznej poprzednio w jego malarstwie. Pojawiły się także — jak dotąd sporadyczne — rozwiązania z pogranicza nadrealistycznej groteski. Akwarela „Dulska", w której na równych prawach występują małe sylwetki ludzkie, syreny (mitologiczne) i krótkie napisy, tej właśnie tendencji intrygującym przykładem.

K

Nadszedł czas teatru poety

Maria Bechczyc-Rudnicka

NIE należy się dziwić ani oburzać, że próby dramatyczne Józefa Czechowicza bardzo długo nie mogły się doczekać inscenizacji. Ich swoista wizyjność była dla teatrów kłopotliwa.

Nie sprzyjały jej lata 1937—38, gdy powstały te jednoaktówki. Wprawdzie miała wtedy Polska wielkiego wizjonera, Leona Schillera, lecz Schiller wymarzył teatr ogromny, drobiazgi poetyckie mogły go zainteresować raczej na zasadzie kramu z piosenkami, do którego się eteryczna substancja miniatur dramatycznych Czechowicza nie nadawała.

Po wojnie? Wiemy, co było po wojnie. Najbardziej powołany do realizacji tych rzeczy byłby chyba Kotlarczyk, cóż kiedy nie wpadł na taki pomysł, a gdyby nawet — natrafiłby oczywiście na niepokonalne przeszkody. Później „wizyjność" i w ogóle wszelkie dziwne sprawy odzyskały prawo obywatelstwa na scenie, tylko że, powtarzam, wizyjność czechowiczowska jest osobliwa, nadzwyczaj trudno uchwytna.

Nie jest to wizyjność niejako wyreżyserowana przez samego autora, powiedzmy — Szekspira, Słowackiego, Wyspiańskiego, obarczona z góry pewną misją ideową, funkcjonalny element w strukturze dramatycznej. Nie, wizyjność sztuk Czechowicza jest ich fakturalną esencją, ona je przesiąka na wskroś. Mówiąc inaczej — wszystko, co tam się wciela w słowo i dzianie się, jest osadzone w wizji sennej czyli poetyckiej i sama myśl płynie strumieniem poezji.

Do nieodstępnych trosk historyków literatury należy m. in. ustalenie „kto kogo rodził". Przyznam się, że niektóre definicje w odniesieniu do Czechowicza budzą we mnie laicki niepokój. Nigdy nie lubiłam oglądać barwnych motyli przekłutych szpilką.

Na przykład: symbolizm. Symbol to mi brzmi jakoś oschle, intelektualistycznie, zalatuje umownym kodem lub uproszczonym pismem obrazkowym. Wydaje się, że w poetyce symbolistów pur sang jest nazbyt dużo zaprogramowania. Zapewne dzieło Czechowicza roi się od symboli, ale owe symbole przenikły doń z poezji ludowej, zbratanej z przyrodą, na którą Czechowicz był, jak wiadomo, niesłychanie uwrażliwiony. Nie są to więc symbole „scholastyczne" bądź artystowskie. Tak czy inaczej, nie powinny one służyć za znak rozpoznawczy przy definiowaniu poetyki autora „Czasu jutrzennego". Chodzi o dostrzeganie subtelnego niuansu między symbolem a metaforą. Myślenie Józefa Czechowicza przebiegało żywymi metaforami po ekskluzywnych spiralach psychicznych, niedościgłych częstokroć dla sond.

Mimo zafascynowania Czechowicza Błokiem, analogie w zakresie dramaturgii tych dwóch poetów są mniej oczywiste, niż by się to mogło wydawać. Błok miał upodobanie do masek, do arlekinady, do commedii dell'arte. Czechowicz wprawdzie nie tworzy postaci trójwymiarowych, lecz jakoś na swój sposób ożywia je serdecznym ciepłem: i Marię, i Jana, i żołnierzy z „Czasu jutrzennego", i Dziewczynkę w „Bez nieba" (albo w „Wadze i cieniu"), Annę w „Jasnych mieczach", Jana i Henryka, Szymona i Jasiulinę w „Obrazie". A nawet ostentacyjny zwid: Cień śmierci — ni to cień Szymona, ni to anioł — jest ludowo swojski.

Jeżeli musimy szukać paranteli, to przypomnijmy sobie raczej, że istniał już teatr Strindberga, Hofmannsthala, Maeterlincka, Andrejewa... Szaniawskiego. Wydaje się, iż te indywidualności twórcze razem wzięte stworzyły klimat artystyczny, w którym zakiełkowała dramaturgia Czechowicza. A swoją drogą związki „Obrazu" z „Weselem" Wyspiańskiego są również wyczuwalne.

Nie mając możliwości przeanalizowania na tych łamach różnic w fakturze poszczególnych jednoaktówek Czechowiczowskich i jego słuchowiska, skoncentruję się odtąd na „Czasie jutrzennym".

Jest to niewątpliwie najlepsza próba dramatyczna naszego poety. Nie bez kozery ją właśnie wybrał dla warszawskiego Teatru Nowego Wilam Horzyca i zestawił z jednoaktówkami innego pióra — Norwida i Rittnera.

→

STYGNĄCE KOWADŁA?

Dokończenie ze str. 1

rzyn, i Henryk Kultys z Sosnowca, i Antoni Pindel z Trzebuni, i Stanisław Kolasiński z kieleckiej Stopnicy, i zaproszeni poeci i rzeźbiarze ludowi na koniec. Część oficjalna była dobra, bo krótka i serdeczna, po niej zaś zaczęły się referaty i rozmowy zainteresowanych stron, wiele godzin trwające.

— Twórczość ludowa wygasa, to proces obiektywny, lecz trzeba go hamować — zauważył etnograf.

— To prawda... Ale nauka nie dorobiła się jeszcze ogólnie uznawanej definicji sztuki ludowej — powiedział inny etnograf.

— Nie pogardzajmy produkcją jarmarczną, bo kryje ona sporo rzeczy wartościowych, należących do współczesnej twórczości ludowej — stwierdził pierwszy, wzbudzając niejakie zainteresowanie dziennikarzy; kowale ani drgnęli.

— Trudno zgodzić się z takim punktem widzenia — zareplikował drugi. — Produkcja jarmarczna wzoruje się na odpadach kultury miejskiej, nie ma nic wspólnego z ludowością, choć może zawierać fakty artystyczne.

Dziennikarski wzrok powędrował w tym momencie na klubową scenę, na której barwiły się eksponaty sztuki ludowej powiatu puławskiego. Ominął jednak: sympatyczną ceramikę z Baranowa, miejscowości znanej z garncarstwa już w XVIII w. i produkującej także dziś doniczki, makutry, flakony i skarbonki; niezwykle kolorowe zapaski tkaczek z Żyrzyna; wycinanki oparte na motywach kowalstwa artystycznego... Zatrzymał się na — z dobrą zapewne intencją wyeksponowanej — rzeźbiarskiej „parze kostiumowej" przyobleczonej w stroje regionalne i chwytającej za gardło swym urokliwym wdziękiem; w jej pobliżu błyszczały reliefowe obrazy typu „słoneczko" i brzózka" — tego samego autora.

— To nie ma nic wspólnego z rzeźbą ludową — zawyrokował naukowiec, wsparty momentalnie potakującym szmerem sali.

— A to? — lubelski etnograf wyciągnął z ukrycia czarny błyszczący dzban w kształcie nagiej damy, o modnych, skromnych piersiach. Goście zaśmiali się radośnie, ale nie wszystkim śmiech ten wyszedł na dobre, bo naukowiec spojrzawszy z pobłażliwym wyrzutem na dziennikarzy stwierdził kategorycznie:

— To i tamto winą waszą niemałą, albowiem wystarczy, że rolnik jakiś podłubie w drewnie, a wy od razu koronujecie go na twórcę ludowego.

Wiadoma część sali zachybotała w proteście. Nie całkiem chyba uzasadnionym, czego dowodem łamy prasy naszej, gdzie „sylwetka" niby — ludowego twórcy rozmnaża się przez spotęgowane poetyckim zacięciem koleżeńskich piór pączkowanie, mordując w tym totalnym rozwoju artystów autentycznych. Machaj pędzlem lub kozikiem, byle długo, a będziesz wyświęcony na św. Łukasza bodaj. Warunek równorzędny: musisz mieszkać na wsi lub w małym miasteczku. Warunek dodatkowy: przewracaj oczami mówiąc, żeś od dziecka miał widzenia kolorowe i samotność lubił.

Celnie strzelił uczony, ale w celu zabrakło przecież: domów kultury, muzeów, wydziałów kultury rad narodowych oraz... poniektórych etnografów. Wszystkie te instytucje (i osoby) krzyżują swoje zbożne działania na rzecz sztuki ludowej od lat wielu, nie zawsze dysponując odpowiednią kadrą, albo po prostu nie panując nad sprowokowaną przez siebie modą na ludowość. W tej chwili już wypada „mieć" w powiecie szeroki wachlarz „wyrosłych z gleby naszej twórców", co łatwo zrealizować wobec braku sprecyzowanych kryteriów sztuki ludowej.

— Rozróżniamy przecież dzieła autentyczne, adaptacje, a nawet zakładamy możliwość wynalazku na terenie współczesnej twórczości ludowej — wyjaśnia etnograf. — Wspólnym mianownikiem tych grup jest obecność form i motywów ludowych oraz określonych technik wykonania.

Spojrzała sala na konkursową wystawę kowali, a tam przedmioty o klarownych i surowych kształtach, autentyki oraz adaptacje przeróżnych motywów, związanych z materialną kulturą ludową, opracowane w technice kowalskiej, która wyklucza spawanie elektryczne i acetylenowe, łączenie przy pomocy śruby, dopuszczając głównie zgrzanie, skówki i nity... Powtarzające się formy drewnianego krzyża z kapliczki, przeniesione w metal... Fantastyczne zwierzaki, wyprowadzone z motywu węża, zdobiącego okucia chłopskich wozów... Świeczniki wyrosłe z profili „kogutków"... Ozdobne zawiasy z patyną gotyckiej ostrości, i kraty okienne...

Ruch się jakiś w tym momencie zrobił wśród kowali, aż wstał jeden, słusznego wzrostu Podhalanin, młody jeszcze, chyba koło czterdziestki, co dziwne, bo większość po pięćdziesiątce, a Białek, Bychawski, Kolasiński i Gąsienica-Makowski szósty dziesiątek już dźwigają, wstał więc tamten młodzik i wskazując na lustro okrągłe w ramce strzępionej metalowej zapytał z uśmieszkiem, czy to także kowalstwo, bo jak tak, to on weźmie się za taką „ludowość" i sporo pieniążków wykuje.

— Nie — odparł naukowiec — to ognia nie widziało. Metaloplastyka.

Trzaskały aparaty fotograficzne, szemrały kamery filmowe, zdyszane panie wnosiły tace z parującą kawą i od tych bodźców jakby cieplej zrobiło się w klubowej sali.

A referent opowiadał, że wszystkie przedmioty metalowe, używane przez dawną wieś, były zdobione, nawet pługi. Belki domostw łączono drewnianymi kołkami, wozy osadzano na drewnianych osiach, ich koła nie miały obręczy, zamki w drzwiach też były drewniane, a w testamentach góralskich z XVII i XVIII w. skrupulatnie wymieniano wszystko, co metalowe, bo metal był bardzo drogi i niedostępny.

— A tero na wsiach kowale robią siekiery z półosiek i odpadów, o stali „w jedlickę" nie ma co myśleć, żelaza coraz mniej. My som już „zdarci" tym — dodał kowal w guniach, mistrz ślusarski i technik budowlany, który we własnej kuźni „izbę twórczą" wydzielił, ale uczniów nie szkoli, bo chętnych do zawodu nie ma wśród młodych, co wszyscy kowale potwierdzą.

Nie ma chętnych i chyba nie będzie, nie tylko zresztą w tej dziedzinie twórczości ludowej. W ciągu ostatnich trzech lat liczba współpracujących z „Cepelią" twórców — artystów ludowych i wytwórców ludowych — według urzędowej nomenklatury — zmalała o 26 proc...

— ...czyli o 720 złotych. Przepraszam! Osób, oczywiście, o 720 osób! — wymienił twórców na złotówki przedstawiciel „Cepelii"; kilkakrotnie.

Kamena str. 6

Połączenie było zaszczytne, ale niefortunne. Należałoby raczej zdecydować się na rozbudowę reżyserską miniaturowej sztuki Czechowicza, jak to uczynił obecnie na scenie eksperymentalnej lubelskiego Teatru im. J. Osterwy Kazimierz Braun. Lecz w owych czasach zaoferowanie publiczności spektaklu jednogodzinnego byłoby „eksperymentem" zbyt ryzykownym.

O zaletach i wadach inscenizacji „Czasu jutrzennego", który wyreżyserował Aleksander Żelwerowicz, trudno dziś się wypowiadać, nie rozporządzając jej dokładnym opisem. Na opiniach recenzentów całkowicie polegać nie można, a i niezadowolenie samego autora nie jest w gruncie rzeczy miarodajne: każde wcielenie teatralne jego poetyckiej wizji mogło go rozczarować. Nie jest też dowodem na niekorzyść fakt, że nikt potem nie podjął dalszej próby wystawienia „Czasu jutrzennego". Realizacja Horzycy odbyła się przecież na parę miesięcy przed wojną.

W Muzeum Józefa Czechowicza w Lublinie można obejrzeć zdjęcia dekoracji, którą opracował do spektaklu z 1939 r. Andrzej Pronaszko. Była nowoczesna i nastrojowa. Miniaturowy domek w pobliżu stylizowanych drzew przywiódł mi na pamięć „Wnętrze" Maeterlincka, kontrastujące spokojem z zewnętrznym zagrożeniem.

K. Braunowi przypadł w udziale honor zrealizowania pierwszej powojennej premiery „Czasu jutrzennego" oraz pierwszego w ogóle spektaklu Czechowiczowskiego w Lublinie. A co najważniejsze — Braun znalazł właściwy dla sztuki kształt sceniczny. Dlaczego stało się to możliwe dopiero anno 1970? Dlatego, że musiała przedtem utworzyć się dokoła pantomimy taka aura, jaką stworzył Tomaszewski i musiał być zainicjowany taki sposób wizyjnego uzewnętrzniania wewnętrznego świata postaci, jaki zastosował Adam Hanuszkiewicz, wprowadzając na podium nieobecnego Kordiana w scenie czytania jego zapisu do sztambucha.

Musiały też teatry oswoić się z nową konwencją czasu scenicznego. Czas Czechowicza to czas poetycki. Pantomima, którą szeroko wykorzystał Kazimierz Braun — otóż pantomima, stanowiąc cezurę w w dialogach, uplastycznia przebieg tego czasu i ułatwia wprowadzenie retrospekcji.

Ciekawe, iż w roku 1937 pisał Ludwik Fryde w „Pionie" (artykuł pt. „Mit teatru. Fantazja krytyczna") na stronie poprzedzającej „Obraz" Czechowicza:

„Wydaje się nam, że jedynie poezja wyobraźni może uratować mit teatru... Wymarzmy sobie taki teatr — oczywiście kameralny z aktorami, którzy nie kopiują ani nie przeżywają, lecz kreują dziwy stworzone przez poetę; wymarzmy sobie grę kolorów i świateł, pantominę (rozstrzelenie moje — M.B.R.) i podkład muzyczny — nie dla łatwego efektu, wszystko utrzymane w stylu, w duchu najgłębszych tendencji sztuki nowoczesnej, dążącej do odrealnienia przedmiotów, postaci, gestów; wymarzmy sobie wreszcie mowę, jaka tam będzie rozbrzmiewać — nie bezduszną powtórkę codziennego języka potocznego, lecz mowę poetycką, ukształtowaną przez ideę artystyczną..."

„Czasu jutrzennego" w inscenizacji Kazimierza Brauna realizuje taki właśnie teatr. Tylko „przeżycia" nie udało się wyeliminować i nie trzeba.

Wspominałam na wstępie, że wizyjność dramaturgii Józefa Czechowicza jest osobliwa. Osobliwość owa zaakcentowała się szczególnie w „Czasie jutrzennym". Sprawy jego rozgrywają się w jednym planie, planie wizyjnym, poetyckim. Nie na darmo powiedział Czechowicz gdzie indziej: „Rozgraniczanie dziedzin zjawisk jest tylko ludzkim kluczykiem" („Bez nieba"). Niby to realni, Jan i Maria żyją w magicznym kole własnej wyobraźni. Wszystko, co przychodzi do nich z zewnątrz, odkształca się w tym kole magicznym. I to wszystko, paradoksalną siłą poezji, stanowi istotny, realny świat „Czasu jutrzennego". Senne wizje Marii są z tej samej substancji poetyckiej, co jej cała postać, co postać Jana i żołnierzy, i małego dobosza, i postacie Niższego czy Wyższego. Wszyscy oni są ze wspomnienia i przeczucia, są dla poety równie realni. Dlatego właśnie można było pokazać przy „ruinach" — czarnego żołnierza z krwi i kości, jak to robi Hanuszkiewicz w „Kordianie" — bez jakichkolwiek udziwnień reflektorami. Dlatego też wolno było, przeciwnie, „zdematerializować" postać małego dobosza w scenie jego śmierci, którą Kazimierz Braun z podziwu godną pomysłowością pokazał środkami pantomimy, przekazując tekst umierającemu grzebiącemu go Janowi.

Zasadne także jest przekazanie tekstu Wyższego i Niższego Kapitanowi i Porucznikowi (i Marii). Niższy bowiem i Wyższy wydawali się raczej obcym elementem w poetyce dramaturgicznej Czechowicza. Wywoływali skojarzenia z wtrącającymi się do losów bohaterów postaciami Hauptmanna bądź Rydla.

Za celowe też uznać należy interpolacje z „Poematu o mieście Lublinie", zgodne z klimatem poetyckim sztuki.

Józef Czechowicz, jak to od dawna stwierdzono, ulegał w życiu i twórczości obsesji śmierci, obsesji zagłady świata. Wojna niesie śmierć potwornie zwielokrotnioną, zagładę monstrualną. Poeta, który w zakończeniu „Bez nieba" kazał pisać na murze przed turmą skazańca: NIE ZABIJAJ, całą swoją istotą sprzeciwiał się wojnie. Ten sprzeciw w „Czasie jutrzennym" potrafił Kazimierz Braun ukazać z przejmującą wymową, dzięki pomysłowym, a w pełni uprawnionym, zabiegom reżyserskim, przede wszystkim dzięki przejrzystym skojarzeniom z przeczuwanym przez Czechowicza najazdem faszystowskim. Jest to leitmotiv przedstawienia — jakże aktualny!

Scenografia Jerzego Torończyka odrealnia świat zgodnie z zamysłem reżysera. Drzewa o „metalicznym" listowiu odsyłają piosnkę „W polu lipeńka, w polu zielona, listecki ozpuściła..." do krainy tęsknot i marzeń. Krucha sieć trawiasta usuwa się jak złudzenie, pozostaje piasek, pozwalający kopać patykiem „realne" dołki, przez które słychać świat. Ale i — grzebie się w tym piasku poległych.

Prościutka muzyka Jacka Popiołka do piosenek sprzyja poetyckiemu nastrojowi spektaklu.

Wszyscy aktorzy obsadzeni w „Czasie jutrzennym" okazali się godni odtwarzania tej subtelnej poezji. Są to: Zbigniew Górski (Jan), Ewa Kania (Maria), Józef Onyszkiewicz (Kapitan), Jerzy Krasuń (Porucznik), Piotr Suchora (Żołnierz czarny). Szczególnie podobała się Maria Ewy Kani, doskonała zarówno w słowie tej prozy poetyckiej, jak w pantomimie.

Otrzymaliśmy spektakl emocjonalny, a zarazem dający satysfakcję estetyczną.

Wypada z konwencji poetyckiej jedynie „ukonkretniona" trochę groteskowo scenka narodzin dziecka — efekt oczywiście niezamierzony. Natomiast nieco naiwna końcowa apoteoza rodziny wydaje się o tyle funkcjonalna, że wzmacnia finalny akcent optymistyczny, zaledwie naszkicowany w oryginale „Czasu jutrzennego" słowami Jana: *„Może za naszym domem coś więcej jest, nie tylko dno rozpaczy"*.

Ostatecznie — *„w miłości odczarowuje się okropność człowieczeństwa"* („Bez nieba").

Starannie opracowany program, który będzie ważnym dokumentem literackim i teatralnym, zawiera dwa wartościowe artykuły dyrektora Muzeum Józefa Czechowicza, mgr Józefa Zięby, przedruk wiersza „żal", zdjęcie portretu poety, wykonanego przez Witkacego w 1934 r., zdjęcie afisza prapremierowego „Czasu jutrzennego" i naturalnie — obsadę, która przejdzie do historii teatru w Polsce.

Józef Czechowicz — „Czasu jutrzennego". Jerzy Krasuń (Porucznik), Ewa Kania (Maria), Józef Onyszkiewicz (Kapitan) i Zbigniew Górski (Jan).
Fot. W Parys

Pożegnanie

JESZCZE w listopadzie ubiegłego roku obchodził swe 70-lecie. Jeszcze w grudniowym numerze „Kameny" mówiąc o jego dorobku literackim, bogatym życiu poety, prozaika, sportowca, taternika, miłośnika folkloru podhalańskiego, wyraziłem żal, że „ten pisarz od dłuższego czasu już milczy" i kończyłem swe uwagi optymistycznym pytaniem retorycznym: „A może jeszcze sprawi nam niespodziankę?".

Niestety, nie sprawi. W trzy kwartały po napisaniu przeze mnie tych słów, 21 września br. Jerzy Mieczysław Rytard przyłączył się do tych, o których mówi góralska piosenka: „Byli chłopcy, byli, ale się minęli".

„Minął się" ten, o którego książce Iwaszkiewicz recenzując „Wniebowstąpienie", tak m. in. pisał: „To uwielbienie dla muskułów, staranne notowanie ich odczuwań, ukłuć słońca, oddychania skóry porami, które pot przepłukał, doskonałe oddanie uczucia nagości na powietrzu — cały szereg notowań przeżyć sportowych związanych z poczuciem zdrowia i siły, stanowią tę specjalną atmosferę „powieści o sile", która pewnych ludzi irytuje, innych zachwyca, jednak nie zostawia obojętnie nikogo".

Umyślnie przytaczam ten cytat, aby podkreślić ową siłę, zdrowie, tężyznę „mocnego młodzieńca", artystycznie manifestowaną w szczytowym osiągnięciu wczesnego okresu twórczości, co przecież znajdowało pokrycie w jego przedwojennym życiu, kiedy prowadził w „Wiadomościach Literackich" dział sportowy, kiedy oddawał się z pasją może nie ściśle taternictwu, ale włóczędze górskiej i narciarstwu, nie ignorując i innych sportów.

A przecież... Kiedy przed 15 laty poznałem poetę osobiście (korespondowałem z nim już wcześniej, a w przedwojennej „Kamenie" zamieściłem fragment jego „Karczmy"), jakże był inny! Przeżycia wojenne, choroba nadwątliły jego organizm. Nie zrobiliśmy żadnej wspólnej wycieczki w góry. Z Gubałówki smutnym wzrokiem chłonął te „turnie, które kochał jak srebra święte", może wspominając pięknie opisane przez siebie zmaganie się z Niebieską Turnią i wiedząc, że to dla niego już drogi niedosiężne. Za to, gdyśmy wracali połogim, rozłożystym grzbietem, opowiadał wiele o góralskim rodzie Rojów, wskazywał osiedla na zboczach Gubałówki umiejscowione w jego świetnych powieściach tatrzańskich dla młodzieży, wspominał Szymanowskiego i Bartusia Obrochtę.

W kilka lat później, gdyśmy spędzali ze swymi paniami tydzień w Ojcowie, bez większego zmęczenia przeszedł szlak przez Sęspowską Dolinę do Pieskowej Skały, ale z trudem piął się do „Sfinksa". Przed czterema laty w Nałęczowie już nie bardzo mógł sprostać dalszym spacerom poprzez łąkę za „Jabłuszkiem".

A potem do jego dolegliwości dusznicowych dołączyła się jeszcze rozstrzeń oskrzeli i krwioplucie. Listy jego do mnie, dawniej częste i długie, stawały się coraz rzadsze i bardziej lakoniczne.

W ostatnim, pisanym na dwa miesiące przed odejściem, po powrocie do Warszawy z niefortunnej wilegiatury w Podkowie Leśnej, skarżył się na „kilkutygodniowy atak rozstrzeniowej gorączki z uporczywym krwioplucie włącznie... i to już trzecie takie lato". Nie przeczuwałem, że ostatni raz pisze do mnie. Tak przywykłem do jego kwękania i narzekań na zdrowie, że te lipcowe wiadomości nie zaniepokoiły mnie zbytnio. Wydawało mi się, że to stan dla Miecia „naturalny", że może nadto przesadza i że to niedomaganie — a przecież to była poważna choroba — może trwać jeszcze lata.

Wykrusza się stara gwardia. Odszedł znowu bliski człowiek, bliski wspólnym umiłowaniem Tatr i ważką dla mnie jego twórczością. Czytając, nie wiem po raz już który, jego wspaniałe opisy halnego wiatru, wspinaczki wysokogórskiej, wypraw narciarskich, towarzysząc jego sympatycznym chłopcom z „Koleby na Hliniku" i „Na białej grani", będę obcował nie tylko z Tatrami, ale i z żyjącym na tych kartach ich autorem, który tak głęboko i serdecznie czuł góry, który tak pięknie o nich powiedział: „Przed nimi zawsze będę się kajał". Który w młodzieńczym wierszu buńczucznie śmierć obwieszczał jako „Zwycięstwo", który tak o sobie i o niej napisał w wierszu pod tym tytułem:

Oddechem nieba
Jestem karmiony!

W gór mroźnych piętrach
Krzyk lasów
Mnie złowił!

Gdy czas mój przyjdzie,
Jak wiatr skłębiony
W znak się zamienię,
W dźwięk się rozpłynę,
Który świat żłobi.

Kazimierz Andrzej Jaworski

Rośnie natomiast liczba rękodzielników wiejskich i robotników w „zakładach zwartych" „Cepelii", co wydłuża perspektywę rozwoju przemysłu artystycznego.

— „Cepelia" jest monopolistą o wadliwej strukturze. Złem największym konkurencja wewnątrz przedsiębiorstwa, w której przegrywa właśnie twórczość ludowa. Sklepy „Cepelii" to salony odstraszające przeciętnego obywatela a do tego nierzadko bez „masy towarowej" — ostro sformułował swoje zdanie wybitny etnograf.

— „Cepelia" działa na zasadach przedsiębiorstwa przemysłowego, a więc obowiązują nas wszystkich odpowiednie normy i rygory, aczkolwiek mamy spełniać i spełniamy rolę kulturalną. Czy nie powinniśmy mieć jakichś ulg ekonomicznych? — skontrował przedstawiciel spółdzielni. — Ciągle wpływają do nas poważne zamówienia, lecz zdajemy sobie sprawę, że masowa produkcja grozi obniżeniem walorów artystycznych...

— A ja nie mam zamówień na trzy miesiące — wtrącił autor lampy nocnej „Górski kryształ", widniejącej na wystawie.

— ...zamierzamy więc wysoko wyceniać rzeczy unikalne, pomagać materialnie twórcom ludowym...

— A ja w „Cepelii" nie mam nazwiska, tylko numer — 231, którym sygnują moje prace...

— Dzisiaj twórca ludowy to taki, co robi tylko pojedyncze egzemplarze. Dawniej machali w dziesiątki i dobrze było.

— Podhalańscy obraźnicy malowali według upodobań klientów: czarne tło dla swoich, niebieskie dla Orawiaków, białe dla innych jeszcze... — kowal cytujący w kuluarach europejską literaturę przedmiotu.

— Byli specjaliści od Frasobliwych i Matek Boskich, to fakt — etnograf.

— Gdybyśmy trzymali się wyłącznie etnografii, to nikt by naszych rzeczy nie kupował — kowal.

— A kto, jak nie etnograf, nakłaniał pana do robienia przedmiotów codziennego użytku?! — żachnął się naukowiec. — Dobrze wiemy, że współczesna twórczość ludowa, jeśli chce istnieć, musi znaleźć nowe miejsce w życiu społecznym dla swych dzieł!

— Zapotrzebowanie na sztukę ludową, na wszelkie rękodzieło jest na świecie ogromne. Przy UNESCO istnieje już Światowa Rada Rękodzieł — nałożyło swoje głosy kilku specjalistów, wywołując duchy angielskie Ruskina i Morrisa, dla których m. in. średniowieczny kowal uosabiał humanistyczne walory rzemiosła artystycznego.

W Gutanowie toczy się rozgorączkowany dyskurs o sprawach sztuki naszej ludowej, więcej w nim narzekań niż radości, a tymczasem w dalekim Tokio Cesia Konopkówna wielkimi nożycami wycina ażurową legendę wsi rodzimej, otoczona tłumami skośnookiej publiczności, przybyłej do cesarskiego pałacu na wystawę polskiej wycinanki. Frekwencja niesłychana, na otwarciu korpus dyplomatyczny w komplecie niemal... W Gutanowie rodzinne zapasy, a tymczasem sklepy „Cepelii" w Nowym Jorku i Brukseli oblega zasobna w dewizy klientela, domagając się jeszcze i jeszcze... W Gutanowie radzą, jak uchronić autentyczny pierwiastek ludowej tradycji, a tymczasem Węgrzy, Rumunii i Bułgarzy drenują kieszenie licznych turystów przy pomocy maszynowego folkloru, dziwiąc się niepomiernie, jak Polakom udało się zachować tyle prawdziwej ludowości. Z różnych stron polska sztuka ludowa intryguje zagranicę.

A w kraju przez pierwsze 10 lat istnienia „Cepelii" nie było chętnych na łowickie pasiaki; przyszło je przeceniać, pruć tkaninę na swetry. To pierwsze dziesięciolecie zbiegło się ze spotęgowaną migracją ludności wsi do miast. Pasiak czy siwak zbyt przypominały chłopski, siermiężny status społeczny, aby czuć do nich sympatię. Wabiły wzorce miastowe, w praktyce — drobnomieszczańskie, na wysoki połysk. Przez następne lata ta wiejska masa pozbywała się przyniesionych kompleksów, a nowe generacje skwapliwie zapomniały o swych rodzicach rodowodzie — w dawnych przedmiotach codziennego użytku zaczęto dostrzegać sztukę, nie bez udziału mody na ludowość.

Dzisiaj miasto jest chłonnym odbiorcą twórczości ludowej, a ponieważ 50 proc. mieszkańców Warszawy, na przykład, legitymuje się pochodzeniem chłopskim, więc faktem jest, że lud tworzy dla ludu — zauważył etnograf w Gutanowie. Dodać przecież wypada: dla ludu z Marszałkowskiej.

— Panie, można coś do tego powiedzieć? — mały podchmielony jegomość w waciaku zaczepia dziennikarza z radia, ruchem głowy wskazując na mikrofon.

— A co pan chciałby powiedzieć?

— E... Tak sobie... — uśmiecha się szelmowsko jegomość. Był to jeden z kilku przedstawicieli lokalnej społeczności, którzy aktywnie ustosunkowali się do krajowego zjazdu kowali i dziennikarzy, mającego m. in. na celu popularyzację kowalstwa ludowego.

Przed przerwą obiadową ktoś eksponowany w Gutanowie kołacze do kilku gospodarstw, prosząc mężów obywatelek z Koła Gospodyń Wiejskich — które jadło dla gości sposobić pomagały wszechstronnie pracującym biuralistkom z STL — aby raczyli i oni obiad pożegnalny obecnością swoją zaszczycić.

— Choćbyś na kolanach błagał, nie pójdę!

Gutanowska obojętność miała podłoże bardziej osobiste — ktoś za bardzo przerósł wioskę, przysłonił ją własną, ciężko wypracowaną indywidualnością, ale prawdą jest, potwierdzaną w różnych regionach kraju, że wieś do dziś nie docenia sztuki wyrosłej z jej własnych wyobrażeń, obyczajów, legend i umiejętności, twórców ludowych pomawia o cwaniactwo lub głupotę.

— Za tym stoi tradycja — skomentował pewien kowal — taki analfabeta Heródek, co to klocki obrabiał na smutno, jak życie jego samego. Ale dziś każdy najmniej osiem klas musi skończyć, a coraz częściej jedenaście. I na tej bazie musi narodzić się nowy twórca ludowy. Nie te czasy, żeby chodzić w sukmanie i udawać autentyka!

Czy zapowiedzią tego modelu jest Z. — junior, który po ukończeniu warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, wrócił do rodzinnej wsi kieleckiej i rzeza świątki na metry? A jeśli tak, to czym wówczas będzie ludowość? Rejestrem form, motywów, rozwiązań przestrzennych i technik, z którego można dowolnie czerpać elementy do wymyślnych krzyżówek? Wiernością schematom ikonograficznym, właściwym sztuce ludowej?

• • •

Drżały im dłonie, kiedy w Pietrakowej kuźni puścili w ruch młoty, choć każdy miał żelazo, ogień i narzędzia w małym palcu. Tłum ludzi dookoła, napierający na kowadło. Fotoreporterzy. Kamery telewizyjne i kroniki filmowej nachalne. Coraz ciemniej na niebie, coraz piękniejsze „kucie na trawie". A w sadzie gruszki soczyste, a na polach bydełko gdzieś porykuje.

— Happening — mamrocze dziennikarz.

Coraz mniej ludzi. Noc. Ktoś jeszcze kuje. Goście w odwrocie na kolację. Ktoś jeszcze kuje... Już puste kowadło stygnące...

• • •

— Zanikanie tradycyjnej i dzisiejszej sztuki ludowej jest faktem, chodzi jednak o to, żeby pomagać w rozwoju sztuki nieprofesjonalnej — pewien mądry człowiek.

Ireneusz J. Kamiński

Płacić znaczy wychowywać

Dokończenie ze str. 1

tylko o sam ten efekt idzie, że zresztą tego rodzaju efektu nie da się osiągnąć wyłącznie przy pomocy mechanicznej zmiany systemu płac, bo potrzeba na przykład odpowiednich przedsięwzięć organizacyjnych, że wreszcie przede wszystkim potrzeba tu zmian w świadomości pracownika, tak by on mógł poczuć się współgospodarzem swego zakładu i t w ó r c ą w swych działaniach produkcyjnych — więc szłoby też o uruchomienie całego zespołu wpływów wychowawczych.

Perspektywicznym bowiem celem jest tutaj właśnie wychowanie pracownika-twórcy, więc człowieka, który by realizował określoną formę wolności, osiągał określoną formę indywidualnego szczęścia w zbiorowym wysiłku pracy. I kto wie, czy głęboka satysfakcja i odpowiedzialność zawodowa nie może być jedną z najważniejszych odmian szczęścia, po jaką jednostce warto sięgać. Bez kształtowania człowieka rozumiejącego potrzebę tej satysfakcji i tej odpowiedzialności rozbudowa oraz modernizacja gospodarki w naszych warunkach staje się na dłuższą metę zadaniem utopijnym. A właśnie możliwościami wychowania w procesie pracy zajęła się rzeczona konferencja. I to możliwościami konkretnymi, które rysują się już teraz, kiedy właściwie jesteśmy dopiero u początku drogi, jeśliby wziąć pod rozwagę szerokie przyszłe cele, w jakie mierzymy, ale zarazem możliwościami, które otwierają realną perspektywę ku owym celom.

Nowy system wynagrodzeń funkcjonuje w FSC od 1 lipca 1970 r., rozmaite zaś przedsięwzięcia wychowawcze były podejmowane i przedtem. Lecz system wynagrodzeń winien być doskonalony w praktyce, a przedsięwzięcia wychowawcze usystematyzowane. Obie te sprawy, ale szczególnie druga, stały się obiektem metodycznej uwagi konferencji samorządu robotniczego, a także przedmiotem szczegółowego programu, który tam zatwierdzono, lecz który ma zostać jeszcze uzupełniony i skorygowany przez załogę, zaś jego realizacja progresywnie kontrolowana.

Jeśli idzie o płace, czy — szerzej — bodźce materialnego zainteresowania, postanowiono ściślej określić oraz ustalić nowe kryteria i gradację premiowania pracowników umysłowych, podwyżek pensji robotników, przydzielania nagród i wyróżnień. Ludzie bowiem muszą dokładnie wiedzieć, kiedy i za co należy im się określony przywilej finansowy. Tak samo muszą znać obowiązujące sankcje materialne, toteż zostaną szczegółowo uzgodnione zasady wymierzania i zaciągania kar dyscyplinarnych, mających wpływ na rozdział funduszu zakładowego. Korektury wymaga również siatka płac, by zniwelować demoralizującą rozpiętość zarobków pracowników zatrudnionych na podobnych stanowiskach. Zostanie także wprowadzony stały dodatek za staż pracy w zależności od okresu zatrudnienia (3, 10, 15, 20 lat), będzie więc się premiować trwałość związków pracownika z zakładem.

Konkretne te zamierzenia mają być zrealizowane do końca roku lub wprowadzone z początkiem przyszłego. Przy tym nie idzie jedynie o likwidację pewnych nieprawidłowości. Obecny na konferencji zastępca członka Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR, Jan Szydlak, zwrócił uwagę w swym przemówieniu m. in. na momenty dydaktyczne, tkwiące potencjalnie w prostym fakcie pobierania wynagrodzeń przez pracowników: *Płace nie są przecież traktowane przez ludzi tylko jako środek utrzymania, lecz są uważane, i słusznie, jako wyraz sprawiedliwej lub niesprawiedliwej oceny ich pracy, jako wyraz uznania dla ich wkładu pracy w porównaniu z innymi pracownikami.* Ludzie chcą więcej zarabiać, by zwiększać swe możliwości konsumpcyjne, lecz zarazem chcą, by zarobek przynosił satysfakcję moralną, stanowił rzetelną miarę wykorzystania ich indywidualnych zdolności. Nowy system wynagrodzeń ma to umożliwić. W tym też kierunku zmierza — jak widać — jego doskonalenie.

Konkretnym i kolejnym tego przykładem jest wprowadzony w FSC tzw. fundusz mistrza, czyli 100, 200 lub 300-złotowe nagrody, wypłacane w 2—3 dni od chwili przyznania, a przyznawane robotnikowi właśnie przez mistrza *za wykonanie zadań produkcyjnych w trudnych warunkach, szybkie likwidowanie awarii, poprawę wskaźników jakości i wydajności pracy.* W ogóle rola pracownika średniego nadzoru (mistrza) ma w zakładzie wzrosnąć. Ten najbardziej bezpośredni zwierzchnik, stojący najbliżej robotnika, będzie współdecydował w sprawach przyjmowania, zwalniania i przeszeregowania pracowników, operowania karami i nagrodami. Jest to więc kierunek na dalszą demokratyzację stosunków w załodze. Tym większego znaczenia nabiera problem odpowiedniego doboru ludzi na stanowiska mistrzów. Przede wszystkim idzie o ich kwalifikacje — by tak rzec — moralne, żeby się fundusz mistrza nie przemieniał drogą kumoterskich machlojek w „fundusz ćwiartkowy" (ja ci nagrodę — ty mi ćwiartkę). Pamiętają o tym w FSC. Dyrektor Gustaw Krupa głośno wymieniał podczas konferencji nazwiska tych mistrzów, którzy nie wywiązywali się należycie ze swych powinności i zostali zdegradowani do funkcji zwykłych robotników.

Nie do przecenienia jest tu także rola zakładowych organizacji partyjnych. Szłoby w ogóle o właściwe ustawienie relacji: podwładny — kierownik. *Krzewiąc zasady socjalistycznej dyscypliny, wymagającej ścisłego wykonywania poleceń kierownika, w codziennej swej działalności POP kształtować winna klimat upowszechniania krytyki braków, zła i niedostatków również w pracy kierownictwa. Oznacza to również karczowanie z naszego życia społecznego oportunizmu, fałszywego lojalizmu, karierowiczostwa, polegającego na układaniu sobie dobrych stosunków z przełożonym kosztem interesu społecznego* — powiedział Jan Szydlak i dalej: *zakładowe organizacje partyjne winny wykorzystać w pełni swe uprawnienia do politycznej kontroli administracji oraz uchwały V Zjazdu PZPR, który podkreślił wagę opinii podstawowych organizacji partyjnych i prezydiów rad robotniczych w całokształcie polityki kadrowej. Chodzi też o ścisłe przestrzeganie ustalonych na tym Zjeździe kryteriów zarówno doboru, jak i oceny kadr, kryteriów tak fachowych, jak i ideowo-politycznych, zwłaszcza zaś kryterium uczciwości i rzetelności w pracy.*

W obrębie kryteriów fachowych znaczenie ma nie tylko przygotowanie zawodowo-techniczne kierownika, lecz także jego fachowa umiejętność kierowania i postępowania z ludźmi. Przeprowadzane będą co trzy lata oceny kadr kierowniczych, zaś od ocen uzależnione zostaną podwyżki, nagrody i odznaczenia dla tych kadr. Dotyczy to również nadzoru niższego i średniego. Dziś kierować ludźmi to taki sam f a c h jak każdy inny. Wymagana jest tu wiedza systematyczna, szkolenie. Dlatego na przykład pierwszy w kraju „Klub Mistrza" przy FSC będzie organizował obowiązkowe szkolenia swych członków w zakresie psychologii, socjologii i organizacji pracy. Sprawa jest jasna — przy nowych bodźcach ekonomicznych źle kierownictwo może na określonym odcinku obniżyć zarobek setek ludzi. Toteż wychowywanie w toku pracy coraz doskonalszej kadry kierowniczej wydaje się kwestią pierwszoplanową.

Mowa była o jednym z niezwykle istotnych zagadnień wychowania przez pracę czy w toku pracy. Lecz obok tego rodzaju problemów istnieje jeszcze zazębiająca się z nimi sprawa wychowania d l a pracy. Prócz szczególnej opieki, jaką mają być otoczeni nowo przyjmowani pracownicy w okresie ich adaptacji w zakładzie (akcja „zielonego liścia" na stanowiskach roboczych tych pracowników), warto trochę bliżej przyjrzeć się kwestii rozpoczynających pracę absolwentów zasadniczych szkół zawodowych. Istniejąca przyzakładowa ZSZ ma słabą sytuację lokalową (pomieszczenia zostały wygospodarowane kosztem powierzchni produkcyjnej bądź przeznaczonej na cele socjalne). Mimo to szkoła ta wypuszcza dobrze przygotowanych fachowców, z których przeszło 90 proc. zostaje w zakładzie. Na drodze współdziałania z pracownią psychotechniczną znajduje się możliwości właściwego wyboru zawodu dla uczącej się młodzieży. Wszelako sytuacja absolwentów tej szkoły, jak i szkół spoza zakładu, nie jest łatwa. Ponieważ nie ma domu stażysty, młodzi, przeważnie pochodzący ze wsi, albo dojeżdżają do pracy, albo mieszkają w mieście, płacąc zbyt wysokie jak na kieszeń stażysty stawki za odnajęcie pokoju. W tym tkwi przyczyna szczególnej fluktuacji kadr młodej załogi.

Podejmie się szereg przedsięwzięć, by zapobiec w takim czy innym stopniu tej sytuacji. Trzeba silniej związać absolwentów z fabryką. Do końca roku ma być zmieniony system zaszeregowania absolwentów ZSZ, źle jest bowiem, gdy wykwalifikowany stażysta po ZSZ bywa częstokroć zaszeregowany znacznie niżej aniżeli nowo przyjęty robotnik niewykwalifikowany. Ma to ułatwić sytuację młodych, stworzyć nie tylko bodźce materialne, lecz i moralne dla podniesienia jakości i wydajności ich pracy. Ten kredyt zaufania powinien się opłacić, zarówno w sensie produkcyjnym, jak i wychowawczym.

Nie sposób omówić wszystkich zamierzeń, o jakich słyszało się podczas konferencji. Cieszy w każdym razie fakt, że są to zamierzenia już wprowadzane w praktykę. Musimy wszelako pamiętać, iż proces wychowania pracownika-twórcy jest obliczony na długi dystans, jego efekty nie dadzą się natychmiast wychwycić. Aczkolwiek właśnie w zakładach dużych, zasobnych, o licznej załodze, szansa szybszego uchwycenia tych efektów jest spora. Stały wzrost globalnych wskaźników produkcji byłby tu sprawdzianem całkiem rzetelnym choć niezupełnie wystarczającym. Sprawdzać to od strony ludzkiej mogłyby okresowe anonimowe ankiety socjologiczne. Jeśli wszak okaże się, iż nie od razu udało się przemienić wszystkich członków kolektywu załogi w aniołów produkcyjnych, to trzeba się przynajmniej cieszyć z wkroczenia na drogę prowadzącą do tego celu. W tym sensie bowiem fabryki produkują nie tylko nowe, lepsze dobra materialne, które daje się dość łatwo obliczyć, ale produkują również, a przynajmniej mogą produkować nowych ludzi, co zostanie przez czas przyszły zbilansowane.

Krzepiąca była ta narada podczas konferencji samorządu robotniczego FSC. I jeśli chciałbym o jeszcze jednej sprawie trochę cierpko mówić, to nie dlatego, bym ją adresował do poczynań i przedsięwzięć tego zakładu jako całości. Członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR, Józef Tejchma, pisze w „Kulturze" (nr 40): *Najdonioślejsze rocznice naszego ruchu i największe słowa naszej ideologii mogą osłabić swą wymowę i swój wpływ, jeśli najmniejsze okoliczności stają się przyczyną świętowania, przemawiania i wznoszenia banalnych toastów. Zamiast umacniania świętego obowiązku dobrej pracy, we wszystkich okolicznościach tworzy się obowiązek świętowania przy każdej okazji. Ten stan musi być przezwyciężony.*

Konferencja, której się przyglądałem, nie była wydarzeniem błahym. Miała charakter tyle roboczy, co i uroczysty. Ludzką jest rzeczą chęć pochwalenia się swymi osiągnięciami, szczególnie w obecności zwierzchników, prasy, radia, telewizji... Ale przecież wszyscy wiemy, że FSC jest zakładem imponującym i że ma osiągnięcia na swoją skalę, jak choćby owe 103 miesiące nieprzerwanej realizacji zadań produkcyjnych, o czym wspominał dyrektor Krupa. Toteż wydaje mi się, iż jeśli nie brakowało podczas konferencji głosów rzetelnej dyskusji, jak choćby wystąpienie inż. Witolda Krajewskiego, dyrektora zespołu szkół przyzakładowych, to może nieco za wiele było chęci podnoszenia istniejących dokonań, wielosłownego optymizmu, tak jakby przedstawiony program już został zrealizowany, albo jakby mógł zostać zrealizowany mocą samego swego istnienia. Nie jestem też przekonany, by każdy rodzaj szeroko pojętej działalności wychowawczej trzeba było z miejsca podpierać wielkimi słowami, by na przykład w kontekście organizacji turystyki i wypoczynku po pracy mówić zaraz o ideowej, politycznej roli tego rodzaju ludzkich zajęć.

Ale to tylko margines całej kwestii i całej konferencji. Wydaje się bowiem, że wkroczyliśmy w etap skromnej, uczciwej roboty, że wielkie słowa zaczynamy coraz częściej rezerwować dla istotnie wielkich okazji, bo wcale nie znaczy, iż zapominamy o zasadniczych celach socjalizmu, jeśli w codziennym życiu zamiast co chwila powoływać się na socjalizm, wpierw powołujemy się na zdrowy rozsądek, na obowiązek dobrej pracy. Sądzę, że to właśnie wtedy o celach socjalizmu nie jesteśmy skłonni zapomnieć.

Maciej Podgórski

Po kapitulacji

Jerzy Dostatni

TO BYŁ drugi vis w moim życiu. Pierwszego zdałem w magazynie wojskowym w Działdowie z początkiem maja 1939 roku, kończąc tam okres dwumiesięcznych ćwiczeń wojskowych, będących właściwie pierwszą nieoficjalną i bardzo ograniczoną mobilizacją po zajęciu przez Hitlera Czechosłowacji. Pistolet, na szczęście, nosiłem tylko od parady.

Drugiego visa sprezentowała mi śmierć. Śmierć jednego z moich żołnierzy podczas pierwszych dni Powstania Warszawskiego. Szykował się wtedy skok przez Plac Trzech Krzyży, aby opanować gmach Instytutu Głuchoniemych. Do naszego oddziałku, kręcącego się po podwórku jednego z domów przy ul. Wspólnej, zaczął strzelać jakiś gołębiarz — tak nazywaliśmy pojedynczych Niemców, którzy ukrywali się jeszcze po naszej stronie i strzelali z dachów, okien i różnych kryjówek. Jeden z takich strzałów zakończył życie stojącego obok mnie powstańca, właściciela tego drugiego visa. Wyrwałem pistolet z zastygającej ręki i wraz z kilku innymi pobiegłem na czwarte piętro oficyny. Na drzwiach mieszkania, z którego do nas strzelano, wisiała wizytówka dentystyki. Tekst był polski, ale nazwisko niemieckie. Gdy wyważyliśmy drzwi, z wewnątrz wyskoczyła kobieta w średnim wieku, ostrymi paznokciami obu dłoni przejechała po twarzy stojącego obok kaprala i — jak mi się może tylko wydawało — chciała przegryźć mu krtań. Vis, już mój vis, z odległości metra zakończył całą sprawę. A potem służył mi wiernie do kapitulacji...

Dziś rano — było to już 5 października 1944 roku — na gruzach, skrywających skrzyżowanie Marszałkowskiej i Koszykowej, jakimś osmolonym prętem żelaznym rozkalibrowałem lufę wiernego przyjaciela i uszkodziłem muszkę. Teraz zaś, już późnym popołudniem, w ramach jakiejś doraźnie sformowanej kompanii wchodziłem na dziedziniec domu akademickiego przy placu Narutowicza, gdzie właśnie mieliśmy złożyć broń.

Złożyć broń... Człowiek, który nie przeżył goryczy kapitulacji, nigdy nie potrafi sobie wyobrazić uczuć i myśli tych, którzy po dwóch miesiącach tragicznej, daremnej walki musieli oddać broń wrogowi. Ze stojącej na baczność kompanii występowały kolejno drużyny, powstańcy składali karabiny i pistolety na rosnący z wolna stos i potem długo, bardzo długo salutowali tę już bezużyteczną kupę żelastwa. Gdy mój vis uderzył lekko o jakiś karabin, wydało mi się, że ten lekki szczęk w głębokiej studni dziedzińca zamienił się w jakąś przerażającą kakofonię grzmotów, w lawinę, niszczącą wszystko, co nas dotychczas łączyło z życiem. Ale tak zdawało się chyba nie tylko mnie. Nie widziałem wokół siebie ani jednej spokojnej krtani, ani jednych suchych oczu...

W jednej z kolejnych drużyn był jakiś podporucznik lotnictwa. Położył paradny kordzik. Pułkownik niemiecki, który przez cały czas asystował przy składaniu broni i — i trzeba przyznać — razem z nami salutował, cierpliwie przeczekując długie chwile bezruchu, otóż pułkownik niemiecki podszedł, podniósł kordzik, oddał go podporucznikowi i wyjaśnił: zgodnie z konwencją genewską o jeńcach wojennych jak i warunkami kapitulacji, które podpisała Wielka Rzesza, oficerom wolno zatrzymać w niewoli białą broń ozdobną. Byliśmy zaskoczeni. Oświadczenie Niemca było zgodne z prawdą, ale przecież przez pięć lat okupacji nauczyliśmy się nie wierzyć jakimkolwiek zapewnieniom okupanta. Czyżby w obliczu nieuchronnej już przecież klęski hitlerowcy znów stawali się ludźmi, uznającymi prawo i własny podpis?

W każdym razie to nas trochę podniosło na duchu. Bo — prawdę powiedziawszy — nikt nie wierzył, że Niemcy będą nas rzeczywiście traktowali jak jeńców wojennych. Przez trzy doby, od podpisania kapitulacji do czasu ostatecznego opuszczenia miasta, trwały zażarte dyskusje, w jakiej postaci wyjść z gruzów Warszawy, aby nie być natychmiast rozstrzelanym. Jedni uważali, że najbezpieczniej wyjść jako ludność cywilna, inni zamieniali się w pielęgniarzy, dźwigających chorych, większość jednak wybierała mundur, a właściwie biało-czerwone opaski, które żołnierzom-powstańcom miały gwarantować osobistą nietykalność. Każdy ryzykował na własną odpowiedzialność — dowódcy zgrupowań i oddziałów pozostawiali nam wolną rękę. Co jednak będzie w rzeczywistości, gdy przekroczymy ostatnie barykady, gdy znajdziemy się już całkowicie na łasce i niełasce wroga?

Po epizodzie z kordzikiem szliśmy jakoś nieco raźniej. Najpierw Grójecką, potem bocznymi ulicami koło Dworca Zachodniego gdzieś na Wolę i dalej szosą do Ożarowa. Ze zgrozą patrzyliśmy na gruzy, które jeszcze tak niedawno były Warszawą. Mieszkając przed wojną kilka lat w tej dzielnicy, znałem niemal każdy dom, każdą uliczkę. Ale dawne miasto istniało tylko w mojej pamięci — oczy rejestrowały rzeczy zupełnie tu dawniej nie znane: gruzy, zgliszcza, tlące się jeszcze kikuty czegoś, leje, resztki okopów i barykad. I straszliwie zmasakrowane trupy, niekiedy już same tylko szkielety. Tego chyba nawet w piekle nie zobaczymy — odezwał się półgłosem ktoś przede mną.

Szliśmy długą kolumną czwórek, mimo zmęczenia, głodu i pragnienia starając się utrzymać równy krok. Głowy do góry — powtarzano co chwila — niech widzą, że nas pokonali, ale nie złamali. To było skierowane pod adresem eskorty wehrmachtowców — co kilka czwórek po dwóch z każdej strony, z nabitymi automatami i granatami za pasami, na których klamrach wciąż pysznił się napis: Gott mit uns. W pewnej chwili przez kolumnę przebiegło nerwowe drgnienie. Z lewej strony, w jakichś zniszczonych ogrodach, stał szwadron kawalerii. Fachowcy rozpoznali, że jest to oddziałek z brygady ss Kamińskiego, godnego kompana Reinefahrta i Dirlewangera. Wiedzieliśmy już o niektórych potwornościach tych oddziałów, złożonych głównie ze zdrajców i kryminalistów. Wyglądało na to, że szwadron gotuje się do szarży. Kłute ostrogami konie stawały dęba, wyciągając kopyta niemal nad naszymi głowami. Twarze esesowców były wykrzywione wściekłością. Mieli zapewne rozkaz, że nie wolno im atakować jeńców, ale co robić, jeżeli... Automaty naszej eskorty podniosły się do góry — gdyby się tu cokolwiek zaczęło, oni też zginęliby bez reszty. Przeraźliwe było to poczucie własnej bezsiły. Przeszliśmy jakby gołymi stopami przez ogień. Nic się jednak nie stało.

Jesteśmy wreszcie na szosie wiodącej do Poznania. Już zmierzcha. Nikt nie wie, dokąd idziemy. Wraz z mrokiem gęstnieje eskorta, ale mimo to niektórzy skaczą w ciemność. Ekorta strzela w noc pojedynczo i seriami, czasem słychać gardłowe komendy, niekiedy krzyk, tonący w gęstniejącej, wilgotnej mgle. Na cienki, podarty kombinezon bawełniany nakładam ciepły serdak z owczej skóry. Spadł mi na głowę z jakiegoś ocalałego okna w kamiennym wąwozie ulicy Chmielnej, którą od Marszałkowskiej szliśmy na plac Narutowicza.

Idziemy tak, a właściwie wleczemy się godzinę, dwie, trzy. Jak okrutnie powoli potrafi mijać czas! Jak wiele wysiłku może kosztować każdy krok nawet na równej szosie!

Wreszcie skręcamy w lewo i po kilkuset metrach przy świetle jednej małej żarówki, zagubionej w nieco rzadszej tu mgle, wchodzimy do jakiejś olbrzymiej, pustej hali. Mówią, że to hala fabryki kabli w Ożarowie, z której okupanci wywieźli już wszystkie maszyny. Walę się na cement w łuku jakichś podartych butów i zapadam w stan odrętwienia. Niby śpię, ale słyszę różne szepty, pokrzykiwania, czasem przekleństwa, niekiedy płacz. W pewnej chwili podskakuję jak przypalony czerwonym żelazem. Wydaje mi się, jestem pewien, że w pomruku tłumu słyszę głos żony, z którą straciłem kontakt od pierwszego dnia powstania. Krzyczę jak opętany jej imię, przedzierając się przez potworne zmęczenie, nieustępliwą ciemność, rosnący zaduch. Z kilku stron odzywają się kobiece głosy: jestem! jestem! Chcę biegnąć, ale tu możliwe jest tylko pełzanie po omacku między stosami głów i nóg. Wreszcie wołam nazwisko — najpierw odpowiada mi cisza, a potem pojedyncze głosy: nie, nie, nie!

Kamena str. 8

Cień na wodzie

Stanisław Kolada

POJECHAŁEM nad rzekę, gdzie spodziewałem się zastać kilku wędkarzy. A godziny mijały i nikt nie nadchodził. Miałem wrażenie, że każdy ptak wyfruwający z przybrzeżnych krzaków i szukający innego miejsca, niesie zapowiedź zbliżającego się wędkarza. Natychmiast wstawałem i wychodziłem na wzniesienie, patrząc, czy ktoś nie idzie. Na darmo, brzeg aż po zakręt, bielejący jasnym piaskiem i wyschłą trawą był pusty. Nikt nie zarzucał wędki, nikt nie zapalał papierosa. Tylko cisza przerywana kwileniem ptaków, brzęczeniem owadów i pluskaniem ryb. Zawiedziony wracałem na swoje miejsce, by za chwilę znów wybiec i z nadzieją wypatrywać.

Kiedyś, w dzieciństwie, wybierałem miejsca odległe, mało uczęszczane i przebywałem tam samotnie, tracąc poczucie czasu. Ta próżnia w samotności, odbywanie wycieczek w niedostępne miejsca, przebywanie nad wodą do późnego wieczoru, bez względu na pogodę, było czymś tak naturalnym, że nigdy nie myślałem o niepokoju, który mógł czyhać nad rzeką.

Teraz co drugi dzień przychodziłem nad wodę, ale trudno było samemu wytrwać. Po prostu nie mogłem ze sobą dać rady. Zanim zarzuciłem wędkę, bardzo pragnąłem, żeby ktoś był w pobliżu. Potem siedząc nad brzegiem i paląc papierosa, również oczekiwałem. Później wziąłem się w garść i zacząłem wmawiać w siebie, że mogę przecież raz posiedzieć sam. Ale już wybiegałem ku drodze. I znów czekałem, gdy ryba nie brała. Czekałem nie tylko, gdy siedziałem bezczynnie. Czekałem, podchodząc do wędki, zmieniając przynętę i znów zapalając papierosa. Czekałem po prostu na obecność człowieka, tak bardzo chciałem, żeby ktoś był w pobliżu, bo nie mogłem sam wytrzymać.

Dziś poczułem nagle, nie wiem jak, po prostu zwietrzyłem przez krzewy, że gdzieś niedaleko ode mnie jest człowiek. Serce zabiło mocniej. Nie jestem sam. Uśmiechnąłem się do siebie i wetknąwszy wędzisko w brzeg, poszedłem na jego spotkanie. Nie znałem tego wędkarza, ale pragnąłem powiedzieć mu po prostu: „dzień dobry!", a jeśli lubi samotność, jak ja ją kiedyś lubiłem, porozmawiam z nim przez chwilę i może już uspokojony, wrócę na swoje miejsce i będę łowił do zachodu słońca, wiedząc, że on tam jest, że siedzi i również wie, że i ja tu jestem.

Kilka pospiesznych kroków, niecierpliwie rozsunięte gałęzie — i człowiek był tuż. Usiadłem na murawie, zerwałem długą łodygę rośliny i gryząc w zębach obserwowałem, jak rozkłada wędki, nadmuchuje poduszkę, by na niej usiąść i jak powoli nieruchomieje w oczekiwaniu na rybę.

Dalsze obserwowanie wydawało mi się nieprzyzwoite. Miałem wrażenie, że kradnę jego tajemnice wędkarskie, jego spokój i wypoczynek w samotności.

— Przepraszam, bierze? — zapytałem, ale głos zabrzmiał nienaturalnie po długim milczeniu.

Odwrócił się gwałtownie i spojrzał na mnie z odrobiną zdziwienia. Na pewno pomyślał: „skąd on się tu znalazł?" Odpowiedział jednak, jak przeważnie odpowiadają wszyscy: — Ani ruszy, zresztą dopiero przyjechałem.

Teraz ja z kolei zauważyłem, że pogoda wyśmienita, że powinna brać, no i oczywiście wtrąciłem, jak to dobrze, że jesteśmy we dwóch nad wodą. On jakby na to czekał i zapytał, czy zostaję na noc. Zaprzeczyłem. Zdziwił się i zaczął mówić, jakie korzyści może przynieść noc i wczesny ranek, jakbym o tym nie wiedział. Spojrzałem na niego uważnie i nagle — to nie do wiary — przypomniałem sobie parny dzień sierpniowy i twarz tak bardzo podobną do tej twarzy... I obraz człowieka stamtąd zdławił mnie w jednej chwili — zaniemówiłem. Zapewne nie odpowiedziałem na jego następne pytania, gdyż widziałem, jak odwrócił się i zajął się sobą. Kiedy to było? Zaraz. Chyba parę lat temu. Przyjechałem na miejsce mało uczęszczane przez wędkarzy. Ze stromego brzegu, omotanego kępami wikliny trzeba było opuścić się w dół i zająć miejsce przy samej wodzie. Tutaj, w głębokich otworach gnieździły się jaskółki-brzegówki, które co chwila wyfruwały i wracały z nerwowym piskiem.

Tamtego popołudnia słońce przygrzewało dokuczliwie, czułem w powietrzu burzę. Siedziałem więc w rozpiętej koszuli i krótkich spodenkach. Miejsce, które zająłem, nazywałem przytulnym „okienkiem". Gdy wokół szalał wiatr, tarmosząc drzewa i krzewy, a pośrodku rzeki wściekały się fale, tu stuliwszy skrzydła zawsze kucał spokój. Stąd spojrzenie biegło na drugi brzeg, bielejący piaskami, za którymi ciągnęły się łąki, zamknięte ciemną barierą dębowego lasu.

Wkrótce wtopiłem się w przeogromny spokój, który rozlewał się wkoło i osiadał na gładkiej, leniwej powierzchni rzeki i liściach zastygłych w jakimś oczekiwaniu. Spostrzegłem, że nawet jaskółki gdzieś się wyniosły z jam i nie odbywają już piskliwych rejsów tam i z powrotem.

Czasem mucha natrętna bzykała, albo bąk ociężały buczał leniwie i nawet groźnie wznosił się do niewiarygodnego szumu, aż wreszcie topił się w ciszy. Wydawało się wtedy, że ktoś do mnie przeciągle mówi, albo z oddali zawodzi basem jakąś dyskretną melodię i znów potężnieje jak z oddali dochodzący strat pozaziemskiej rakiety.

Ryba nie brała. Patrzyłem, jak po tamtej stronie, na mieliźnie rzuca się boleń i sieje spustoszenie. W moim „okienku" pulsował wciąż spokój. Liczyłem, że w nocy będę miał więcej szczęścia...

Ocknąłem się błyskawicznie, usłyszawszy szelest blisko, a po chwili na spokojnej wodzie ujrzałem cień człowieka z wyciągniętą ręką, w której trzymał jakiś wydłużony przedmiot nabierający wyraźnego kształtu. Odwróciłem się i wtedy to, co mogło budzić jeszcze niepewność, stało się faktem: w jego ręku błyszczał duży, rzeźnicki nóż.

Drgnąłem na całym ciele. Jakiś szaleniec — błysnęło mi w głowie — skoczy na mnie z tym nożem. Na plecy.

Nagle otoczenie, które falowało zmiennym, drgającym szumem, przemieniło się w absolutną ciszę... Żadnej fali, żadnego szelestu ptaka, tylko ten tajemniczy człowiek z nożem w ręku na tle rozpalonego nieba.

Obejrzałem się błyskawicznie dookoła i gdy czujnym spojrzeniem wróciłem, człowiek zajęty sobą, rozsuwał gałęzie krzaków.

— Szuka pan czego?

Milczał. Zaczął obcinać gałęzie, albo udawał, że obcina. Może te witki były wybiegiem, wykrętem, żeby odwrócić moje podejrzenie. Twarz miał zastygłą grymasem zaciętości, ściągnięte brwi, maleńkie oczka, głęboko ukryte, brudne ręce i palce z długimi pazurami w kształcie zagiętych ptasich szponów.

Zbliżył się nad samą krawędź brzegu i otworzył usta, ukazując w uśmiechu sczerniałe zęby. Droga zamknięta: skoczyć do rzeki i w ten sposób się wymknąć.

— No, co — bierze? — zapytał i tym nożem zaczął znowu ścinać gałązki wikliny.

Stałem w miejscu znieruchomiały. Nie mogłem pojąć, co tu się dzieje. Patrzyłem drętwym spojrzeniem na nóż i jego ręce, na twarz i dopiero po chwili z uczuciem niepewności, jąkając się:

— Nie... właściwie... taka pogoda... A pan?..

A on śmigał dalej nożem, wycinając rózgi. Pilnie obserwowałem jego każdy ruch, każde spojrzenie. Raptem wbił nóż w ziemię: było to jak wbijanie w plecy, czekałem aż ten cios zacznie krzyczeć we mnie. I usiadł, opuszczając z brzegu brudne nogi. Podniosłem dłoń do czoła. Byłem spocony.

— Ja tam nie mam cierpliwości do wędki — odezwał się nieznajomy. — Zresztą, kopanie się zbliża, trza koszyki załatać, nowe upleść. To tak przyszedłem. A tu witki dobre, nie ma takich gdzie indziej.

I naraz zaczął opowiadać o sobie, co słychać w wiosce i tak się rozgadał, że wydawało się, jakby chciał zatuszować po co tu przyszedł. I to znowu mnie zaniepokoiło. Wreszcie podniósł się i zginął w krzakach tak nagle, jak się zjawił. Po chwili, gdy się przekonałem, że już go nie ma w pobliżu — chociaż wciąż myślałem, że czatuje na mnie — złożyłem wędki, wdrapałem się na brzeg i czym prędzej odjechałem.

Gdy się teraz ocknąłem z zamyślenia, słońce zaszło za olszyny. A może człowiek stamtąd — pomyślałem — to inny niż ten, co tutaj siedzi? Może nadałem temu formę z moich wyobrażeń, utożsamiłem sylwetkę, twarz. I w dodatku wetknąłem mu nóż do ręki. I ta ukształtowana postać, może wcale nie być odbiciem tego, co tutaj siedzi. Choć owa napięta, niespokojna i niejasna całość może jest tylko czymś przeze mnie stworzonym, ale przywołującym to dręczące uczucie grozy.

Nie musiał to być ten sam. Bardzo chciałbym, żeby to nie był ten sam. Bo tamten przecież nie łowił ryb. Ale nie mogłem sobie wyobrazić, że ten tutaj, to naprawdę był ktoś inny.

Powiał chłód. Wstałem. Nieznajomy wędkarz, jakby mnie teraz zauważył i ponowił propozycję:

— A może pan jednak zostanie na noc?

— Na noc?... Ja?... — powiedziałem zmieszany. — Nie mogę. — Nie wiem czemu zacząłem usprawiedliwiać się. — Jadę do domu, już późno.

Widziałem, że wzruszył ramionami i odwrócił się ode mnie. Szybko pobiegłem na swoje stanowisko i zacząłem składać sprzęt. Spieszyłem się z tym, aby oddalić się znad wody, nim mrok skryje przede mną drogę. Obawiałem się, żeby nie powrócił człowiek stamtąd. Cieszyłem się, że jest jeszcze droga prowadząca do domu i że z każdym krokiem coraz dalej od człowieka, na którego przyjście właściwie czekałem.

Za chwilę ktoś inny przeżywa podobny dramat. I tak do samego rana.

Dzień, podobnie jak poprzednie, wita nas jaskrawym słońcem, które wdziera się przez okna, niemal przewierca mury. Wreszcie otwierają się bramy — jedna, druga, trzecia. Mrowisko ludzi rzuca się do wyjścia, ale i natychmiast cofa. Niewielka przestrzeń przed halą gęsto obstawiona uzbrojonymi hitlerowcami. Czyżby pluton, a raczej kompania egzekucyjna? Stoimy bezradni, rozgorączkowani, głodni, niesamowicie brudni, zewnętrznie niczym nie przypominając wojska.

Nagle w drzwiach staje niemiecki porucznik. Jasny, dobrze odżywiony blondyn, w nienagannie skrojonym mundurze, gładko wygolony, pachnący wodą kolońską, pewny siebie i swojego komfortu. Czegoś takiego nie widzieliśmy od dwóch miesięcy. To człowiek może tak wyglądać? Ba, tylko czy to jest rzeczywiście człowiek?

Jest bez broni. Czuje za sobą ponad setkę nabitych karabinów, ale przecież tu, w hali, jest on sam i nas kilkuset. Nikt nas jeszcze nie rewidował, więc może ktoś ma ukrytą broń? Wiemy, że nikt, powiedzieliśmy sobie, że nie stworzymy żadnej prowokacyjnej sytuacji, ale on o tym nie wie. Więc mimo pozornego spokoju ma rozbiegane oczy i sztywno zaciśnięte palce rąk. W każdej chwili gotowy odskoczyć, upaść, czy ja wiem, co zrobić, aby ocalić własne życie, jeżeli znajdzie się w niebezpieczeństwie?

Podchodzi wolno kilka drobnych kroczków. Widać, że czuje się coraz niepewniej we wciąż otwierającej się przed nim pustce, przeszyty kilkuset spojrzeniami, z których każde chciałoby go natychmiast unicestwić.

— Dzień dobry paniom i panom — odzywa się wreszcie zupełnie poprawną polszczyzną, salutując przy tym elegancko.

Odpowiada mu śmiertelna cisza, chociaż każdy z nas jest całkowicie zaskoczony. Nie tego przecież oczekiwaliśmy od chwilowych zwycięzców. Porucznik czuje, że wywołał pewne wrażenie, nabiera więc niejakiej pewności i swobody. Mówi, że z ramienia wspaniałomyślnego generała von dem Bacha jest naszym specjalnym opiekunem. Podkreśla: specjalnym, bo mimo wszystko — co ma znaczyć: mimo powstania — uznaje w nas dzielnych żołnierzy. I on będzie się nami specjalnie opiekował, aby w ciężkich warunkach wojny było nam możliwie najlepiej. Na dowód tego za chwilę nastąpi rozdział chleba i gorącej wody, po pół litra na osobę, a koło południa będzie obiad. Ponadto możemy korzystać swobodnie z kranów na zewnątrz hali. I bardzo przeprasza, ale z powodu braku robotników musimy sobie sami wykopać latryny. Na razie życzy nam wszystkiego najlepszego, niedługo znów się zobaczymy.

Rzeczywiście otrzymujemy po ćwiartce gliniastego gnieciucha, który ma być chlebem, i trochę letniej wody. Koło południa nadjeżdżają kuchnie polowe i dostajemy do menażek, puszek czy garnków po niepełnej chochli wody z gotowaną brukwią. Po godzinie świeżo wykopane „urządzenia sanitarne" mają niezwykłą frekwencję.

Te same godziny jednym upływają błyskawicznie, drugim wloką się niemiłosiernie. W tłumie odnajdują się dawni przyjaciele i koledzy, bliżsi i dalsi znajomi, czasem znajomi znajomych. Jedni drugich pytają gorączkowo, co z tym, co z tamtym, czy żyje, kiedy go widział po raz ostatni, co mówił, jak wyglądał. Ale najczęściej na takie pytanie najpierw odpowiada cisza, a potem ogólnikowe — chyba... Prawa wojny, a szczególnie beznadziejnego powstania w otoczonym mieście, są okrutne. Spaliły się domy i całe dzielnice, w nich dziesiątki, setki żywych jeszcze ludzi, ale najbardziej żywotna okazuje się nadzieja. Nikt nie wie, kiedy będzie można sprawdzić, czy była uzasadniona. Jeżeli przeżyjemy — tak najczęściej zaczynają się i kończą rozmowy.

„Nasz" porucznik rzeczywiście zjawia się co dwie, trzy godziny. Teraz już nie usiłuje mówić do wszystkich, ale stara się zgromadzić wokół siebie mniejsze grupy. Mówi, że w ostatnich dniach armia niemiecka na wszystkich frontach odniosła potężne sukcesy. Od Wisły rozpoczęła się już wielka ofensywa. Niemcy odbili Pragę, Anin i Otwock, koło Dęblina przerwała się kolumna pancerna i prze na Lublin. Widać, że nie zmyśla tego na poczekaniu, relacjonowane przez niego działania rozwijają się logicznie i zgodnie ze sztuką wojenną. Mimo wszystko, nikt mu nie wierzy. Wiemy, że to propaganda, może mówić co chce, bo przecież jesteśmy odcięci od świata. Ale do czego zmierza ta propaganda, która — jak to dostrzegamy — różni się od znanych metod goebbelsowskich? Nie jest nachalna ani w treści ani w głosie. Ale właśnie dlatego wietrzymy jakiś niezwykły podstęp.

No i rzeczywiście następnego dnia wciąż zresztą jednostronna rozmowa zaczyna się stwierdzeniem, że od półtora miesiąca przy boku armii niemieckiej walczy jednostka polska. Rozrosła się już do pełnej dywizji, bo zgłasza się coraz więcej ochotników-Polaków. Część stanowisk dowódczych jest jeszcze obsadzona przez oficerów niemieckich, ale to właśnie wielka szansa dla nas. Każdy z nas, kto zgłosi się na ochotnika, zostanie natychmiast mianowany o stopień wyżej. Fuehrer wielkodusznie postanowił zapomnieć o powstaniu i jeżeli... Któregoś dnia zapowiedział nawet, że po zwycięskiej wojnie Polska może być w nowej formie odbudowana w granicach Generalnej Gubernii, nawet rozszerzonej na wschód, jeżeli właśnie my wykażemy zrozumienie...

Gdy tylko zorientowaliśmy się, do czego zmierza gładkość i wytworność porucznika, postanowiliśmy podjąć z nim swoisty dyskurs. Otaczaliśmy go w kilkudziesięciu. Ci najbliżsi cały czas milczeli, z trudem, ale dla wspólnego dobra, tłumiąc wściekłość. Następny krąg wykazywał rzekome zainteresowanie, pytając o rozmaite szczegóły: jakie mają być granice tej prohitlerowskiej Polski, jakie mundury w tej polskiej dywizji, czy żołnierze noszą orzełki na czapkach, czy dywizja nie będzie posyłana na najkrwawsze odcinki, co z odbudową Warszawy? Na niektóre pytania odpowiadał gładko, widać, że miał odpowiedzi przygotowane. Przy innych plątał się, improwizował lub uchylał się mówiąc, że to czy tamto dopiero będzie rozstrzygnięte z polskim rządem, który już się tworzy.

Główną rolę spełniał jednak trzeci krąg. Kryjąc się za plecami poprzedników, rzucał najbardziej prowokacyjne pytania: o rzeczywistych klęskach na frontach, o obozach koncentracyjnych, łapankach, egzekucjach. Porucznik udawał, że tych pytań nie słyszy, chociaż było widać, jak tłamsi wściekłość. Wreszcie nie wytrzymał i wymknęły mu się słowa: prowokacyjne pytania. Na chwilę zapanowała cisza, a potem wszyscy zaczęliśmy skandować: pro-wo-ka-tor, pro-wo-ka-tor... Przez cały następny, trzeci z kolei dzień, już się nie pokazał. Swoim zwierzchnikom nie mógł zameldować nawet chociażby o jednym ochotniku.

Trzeciego dnia już się zmierzchało, gdy zarządzono alarm. A więc stanie się coś nowego, ale co? Ustawiono nas w trójszereg, a potem oznajmiono, że zostaniemy przewiezieni do stałego oflagu. Ale ponieważ w każdej chwili może nastąpić nalot lotniczy, załadowanie do wagonów kolejowych nastąpi dopiero, gdy będzie ciemno i we własnym interesie musimy to zrobić biegiem, aby możliwie najszybciej opuścić niebezpieczny dworzec.

No i rzeczywiście wszystko odbyło się szybko. Okazało się to chytrze obmyślanym podstępem. To, że na peronie stały tylko wagony towarowe, nikogo nie zdziwiło. Podzieleni na grupy po 24 osoby aniśmy się spostrzegli przy mdłym świetle przyciemnionych karbidówek, jak znajdowaliśmy się kolejno za podwójnymi zwojami drutów kolczastych, odgradzających trzecią część wagonu. W tej trzeciej części nas, dwudziestu czterech, w dwóch trzecich pięciu czy sześciu Niemców z gotowymi do strzału karabinami ręcznymi oraz jednym karabinem maszynowym, wycelowanym prosto w nas. I już krzykiem zapowiedziana groźba: żadnych hałasów, żadnych śpiewów, żadnego wyrzucania czegokolwiek przez do połowy zabite, a w drugiej połowie zabezpieczone drutem kolczastym okna. Najmniejszy opór, ociąganie się w wykonaniu rozkazów upoważnia eskortę do strzelania bez ostrzeżenia.

Pociąg jechał wolno, zatrzymując się często na stacjach, niekiedy pomiędzy nimi. W naszej części było tak ciasno, że do snu układaliśmy się partiami. Jedni kładli się ciasno obok siebie, inni musieli stać i tak na zmianę.

O świcie wjechaliśmy na dworzec w Częstochowie. Tu po raz pierwszy otwierano kolejno wagony i wypuszczano nas na 10 minut. Nie wszyscy mieli siłę, aby wyjść. Gdy nas ponownie zamknięto w wagonach, perony zaroiły się ludnością. To mieszkańcy Częstochowy na wieść, że przez miasto przejeżdża transport powstańców warszawskich, przybiegli z czym mieli: żywnością, napojami, ciepłą odzieżą. Eskorta początkowo usiłowała powstrzymać tłum, ostatecznie jednak zezwolono na podawanie paczek. Po godzinie jechaliśmy już dalej w tych samych, a raczej jeszcze gorszych warunkach. W nie uprzątniętych wagonach robił się straszliwy zaduch, jedni wymiotowali, inni pod wpływem gorączki tracili panowanie nad sobą...

W tych potwornych warunkach jechaliśmy jeszcze półtorej doby. Po minięciu przedwojennej granicy straciliśmy orientację, niemieckie nazwy mijanych stacji nic nam nie mówiły.

Wreszcie wysiadamy na małej, jakby zagubionej w polu stacyjce: Lamsdorf. Dziś już wiemy, że w Łambinowicach znajdował się obóz jeńców radzieckich, że zamordowano ich tam około 100 tysięcy. Ale wtedy ta nazwa nic nam nie mówiła.

Na peronach masa żołnierzy niemieckich, wszyscy z nabitymi karabinami, wokół szerokim wieńcem gotowe do strzału karabiny maszynowe. Raus, schnell, schnell, raus — rozpoczyna się znany jeszcze z przedpowstaniowej Warszawy jazgot.

Z sąsiedniego wagonu wysiadają koledzy, wśród nich ów podporucznik lotnictwa. Na pasie wisi ozdobny kordzik. W pewnej chwili dostrzega go nasza eskorta. Hitlerowcy jak stado wygłodzonych, wściekłych brytanów rzucają się na podporucznika. Jedni urywają kordzik, inni przewracają porucznika na ziemię, biją go, kopią, plują na krew, spływającą coraz obficiej z masakrowanej twarzy, deptanych rąk...

Kamena str. 9

Pompowanie pisarzy

A do roboty ich

TYTUŁ mojej wypowiedzi nie jest oryginalny, zapożyczyłem go (dosłownie przepisując zdanie) z artykułu Macieja Podgórskiego, zamieszczonego w sierpniowym (II) numerze lubelskiej „Kameny" pod znamiennym i prowokującym tytułem „Pompowanie pisarzy".

Artykuł ten, przyznam od razu, zdenerwował mnie. Nie dlatego, aby jego autor od początku do końca nie miał racji. Nie. Wiele podniesionych spraw jest wziętych z życia, i prawdę mówiąc, dobrze podpatrzonych i zgrabnie przekazanych. Wszelako intencja końcowa artykułu wydaje mi się zbyt dziwna, co i bezpodstawna. Jednak efekt dziennikarski został osiągnięty i teraz winni przedstawić się sami „oskarżeni". Nim oni jednak siebie „obnażą", oto kilka moich uwag i spostrzeżeń.

Opisane przez M. Podgórskiego zjawisko nie jest aż tak powszechne. Poetów, o których pisze, można dzisiaj naliczyć na palcach dwu rąk. Zgadzam się, że najprawdopodobniej najwięcej ich w Warszawie. Najwięcej — w żaden chyba jednak przeszłym. Gdzieś 3—10 lat temu rzeczywiście w środowisku warszawskim można było spotkać szereg grup i ugrupowań, które „panoszyły się" swoim arogancctwem i sposobem bycia. Kiedy np. w środowiskowym klubie „Hybryd" w 1960 roku doszło do spotkania tzw. „Orientacji poetyckiej Hybrydy", na pierwsze zebranie założycielskie zjawiło się około stu marzycieli o wielkiej przygodzie pisarskiej. To był szok dla organizatorów. Bo każdy pisał, każdy chciał mieć wieczór autorski, każdy chciał drukować, wydawać książki. I prawie wszyscy wkrótce porzucą studia, i na dobre zabiorą się do „tworzenia" literatury. Lata i możliwości własne okażą się jednak zbyt okrutne, aby przy literaturze pozostać i żyć z niej. Coraz rzadziej można było zarobić na wieczorach, coraz mniejsze zainteresowanie publiczności powodowało pustkę i izolację społeczną. Tylko nieliczni pozostali we własnym uporze, ale ci mieli na pewno już wtedy wiele do powiedzenia, dzisiaj posiadają już po 3—4 książki i na pewno ich dalsze przebywanie przy „marzeniu" tworzenia wciąż nowych rzeczy — jest oczywiste i znaczące. Weszli w krwiobieg literatury.

Odeszli więc „marni" marzyciele od poezji. Może i piszą jeszcze, ale któż ich wiersze traktuje poważnie i widzi w nich nowe wartości dla poezji narodowej? Że zawiedli się, że gdyby np. ukończyli studia, ich życie byłoby mniej gorzkie, mniej zawiedliby się na samych sobie? Na pewno tak. Jednak prawem młodych jest bunt i próba zaznaczenia siebie, że się jest, a owe pragnienie (nawet za wszelką cenę bycia na „zawsze w poezji" jest ich indywidualną sprawą. Wiadomo, tę gorycz musi połknąć ten, kto zdecydował się na taki, być może, niepotrzebny krok w pewnym okresie swojego życia.

Mogę zapewnić Macieja Podgórskiego, że w środowisku warszawskim minęły już lata, kiedy na Krakowskim Przedmieściu „wałęsał" się tłum owych „poetyckich młodzieniaszków". Owszem, „wałęsają" się i dziś, ale ci wiedzą, że droga poprzedników w większości okazała się fałszywa i zgubna. Więc nie porzucają studiów, nie rezygnują z podstawowych zarobków miesięcznych. Jako przykład — kiedy rozpadła się wspomniana „Orientacja poetycka Hybrydy" i jej miejsce (w tym samym klubie) zajęło „Forum poetów Hybrydy", ci są nieco ostrożniejsi. Być może, mniej utalentowani (lecz kto to może wiedzieć), ale bardziej ostrożni i po prostu studiujący i pracujący. „Forum" na początku skupiło ok. 100 młodych poetów, dzisiaj wykruszyło się, ale mogę zapewnić publicystę z „Kameny", że tylko trzech (nazwiska do podania panu Podgórskiemu) przerwało studia i pracę. Ale nie poezja była tego przyczyną.

Więc skądże tak okrutne i wyszukane wnioski autora „Pompowania pisarzy" o poetach warszawskich? Jednak jest prawdą, że i dzisiaj można spotkać wielu młodych (tak się utarło — „młodych", choć są to nierzadko już weterani ruchu poetyckiego), którzy starają się za wszelką cenę żyć z pisania. Toteż poszukują wciąż nowych dróg do takiego „lekkiego" żywota. Będą więc uparcie wysyłać te same wiersze do prawie wszystkich pism, nawiedzać wydawnictwa, składać podania o stypendia, raz w ZLP, innym razem w organizacjach społecznych czy klubach.

Ale czyż to ich wina, że takie stypendia otrzymują, często systematycznie? Wina wszelkich komisji, które stypendia przydzielają. Wiele niezdrowych decyzji mają na swoim koncie i warszawskie komisje, zajmujące się pomocą dla młodych twórców. Bo znam wielu, jakże potrzebujących i zarazem zasługujących na takie stypendium (nie ciągłe stypendia, ale stypendium) młodych poetów czy prozaików, albo malarzy. Ale ci nie otrzymują, otrzymują inni, wśród nich i ci, o których tak krytycznie pisze M. Podgórski.

Poezja jest coraz rzadziej czytana przez samych poetów. Nie wiem dlaczego. A jednocześnie wielkim optymizmem napawa szerokie społeczne zjawisko tysięcy miłośników poezji. Chociażby młodzież licealna czy studencka, która setkami uczestniczy w dorocznych konkursach recytatorskich. Niemało też mamy miłośników poezji młodych w innych środowiskach. Jest jednak prawdą zarazem, że na wieczór nieznanego poety — coraz mniej garnie się ludzi. Więcej, wieczór grafomana odbija się negatywnym echem i taki „poeta" nie może (co najmniej w Warszawie) liczyć na odbiorców na swoim kolejnym spotkaniu. Pozostaje więc mu jedynie własne środowisko, rodzina, ciocie, dziewczyny (jeżeli ma wzięcie jako mężczyzna, bo partacz poetycki i niechluj nie ma wzięcia u dziewczyn, które potrafią dobierać, i to celnie, „pieweców" własnej osoby).

Nie jest zatem groźnym zjawiskiem wmawiana, a nie istniejąca plaga domorodnych poetów. A że piszą tysiące, to nie ich wina i ich sprawa. Wcześniej czy później będą musieli pozostawić swoje wyimaginowane marzenia o „posłannictwie" i zająć się konkretną pracą. Jaką? Murarską, jeżeli nie starczyło im wysiłku, aby ukończyć studia, albo powrócić na wieś i przyjąć schedę po ojcu-rolniku.

Oczywiście, jeżeli faktycznie istnieje takie szkodliwe zjawisko „poetów", należy się przeciwstawiać temu ich „błędnemu" życiu. Widzę trzy czynniki, które mogłyby zahamować takie „lekkie" i nijakie życie. Po pierwsze — nie dawać stypendiów. Komisje do tego powołane muszą bardziej szczegółowo i w miarę możliwości obiektywnie, nie kierując się żadnymi ubocznymi względami, rozpatrywać podania każdego poety czy pisarza pragnącego otrzymać stypendium, a więc niezbędną pomoc np. do ukończenia książki. Po drugie — zweryfikować kadrę kierowników działów poetyckich i kulturalnych w czasopismach. Pan Podgórski pisze o „niedouczonych" szkodnikach społecznych, muszę mu przypomnieć, że owymi szkodnikami są liczni, wspomniani przeze mnie kierownicy działów poetyckich, którzy — czyż rzadko? — wywodzą się z owych „splajtowanych" geniuszów. To im się nie powiodło, teraz są okrutni, bądź jakże łagodni, wyrozumiali. Po trzecie — należy zahamować wydawanie tomików, których wartości są mniej niż żadne (pisał o tym wielokrotnie Andrzej Waśkiewicz, zwłaszcza w swoich szkicach o tzw. „literaturze podziemia"). Należy wzmóc wymagania literackie i nie drukować tylko dlatego, że ktoś o taką książkę się upomina, i niejako „musi" ją mieć, bo np. brak takiej książki (wg mniemania adepta) będzie niepowetowaną szkodą dla literatury. Niech sobie poczekają kilka lat owi „wątpliwi", czas Rimbaudów nie do nich należy: przybosiowskie stwierdzenie, że jeżeli nie wydrukuje się wiersza i nie wyda książki przed 21 rokiem życia, nigdy nie będzie się poetą — nie może być regułą. Tiutczew wydał jeden tom poetycki, kiedy miał ok. 35 lat i, jak wiemy, pozostał w historii literatury.

I jeszcze jedna sprawa. Krytyki. Nie odkryję niczego nowego, jeżeli powiem, że dzisiejsza krytyka jest aż nadto pobłażliwa. Krytykiem może być każdy — poeta i niepoeta. Każdy, kto poprawnie pisze, kto chce pisać o wierszach. Nudne są więc te opinie, powielane z jednego poety na drugiego. Są niesprawiedliwe, niezgodne z przekonaniem i sumieniem krytyków. Jednym pociągnięciem pióra niszczy taki krytyk, bądź wnosi na pełny parnasu, poetę. Dwa przykłady. Mętrak potrafi nazwać Górzańskiego polskim Rimbaudem (nota bene cenię wiersze Górzańskiego), a Barańczak — Mocarskiego grafomanem. Ani jeden, ani drugi nie wczytał się dokładnie w wiersze, swoje poglądy wypowiedział ot tak sobie, może nie dla zabawy, ale też nie z pożytkiem i znawstwem przedmiotu. Rozumiem, efekt jest ważny, i tak przecież tygodniki są nudne i na dobrą sprawę wszystkie takie same. To, co przeczytamy w „Życiu Literackim", można przeczytać w „Kulturze", z tym, że w „Kulturze" wielostronicowe opowiadania, równie mdłe, co bezsensowne. Pisane poprawnie, bez tego, co jest potrzebne literaturze.

Może by tak tych, którzy zajmują się „krytykowaniem" bądź „opiniowaniem", do jakiejś szkoły? Nie wiem, czy mam rację, nie jestem w stanie zaproponować czegoś więcej oprócz sugestii. Ale faktem jest, że np. grafoman, autor 2—3 tomów, pisze o koledze po piórze, albo pozytywnie albo niszcząco. Pozytywnie, bo się np. przyjaźni, negatywnie, bo jest zwykłym zazdrośnikiem.

Potrzebna jest kadra krytyków, jak np. fachowców inżynierów, określonych specjalności. Nie może być tak, aby krytyk pisał o prozie i poezji, filozofii, cybernetyce, astronomii, logice. Nie może, ale tak jest. Chyba, że Nowickiego z „Faktów i Myśli" uzna się za zjawisko wyjątkowe i bezprecedensowe. Byłbym niesprawiedliwym, gdybym zupełnie nie widział krytyków, których sens pisania o poezji byłby inny od tych, którzy piszą, aby pisać, aby dorobić sobie, zresztą — jak w poezji się nie powiodło (i pewnie się nie powiedzie), to trzeba pisać krytyki. Ale tych znawców wytwornych, piszących o sztuce ważnej, jaką jest poezja — jest kilku. I jeszcze są poeci, którzy wypowiadają się o poezji i mówią jak poeci, a więc tak, jakby przepowiadali własną poezję. Ich głosy są dzisiaj bodaj najistotniejsze, tyle co rzadkie. Oni, poeci, którzy zapisują sens naszego istnienia, to, co określa nas, jak powiedział kiedyś Gałczyński, co „chcielibyśmy uratować od zapomnienia", że byliśmy, że jesteśmy.

Nie „naganiajmy" poetów do roboty. Oni są zmęczeni. Dalej nie wytrzymają i tak w swoim „uporze" grafomanów.

Jerzy Leszin

Pompowanie czy robienie balona?

Z ZAINTERESOWANIEM czytam w „Kamenie" głosy w dyskusji o młodych pisarzach. Muszę nawet powiedzieć, że z większym zainteresowaniem niż w centralnej „Kulturze". W związku z tym skreślam kilka uwag, które mi się nasuwają. Nie kluby twórcze, tak liczne, są winne. Jest to w końcu rodzaj działalności towarzysko-rozrywkowej, przypominającej gatunek muzyczny, obecnie nieco już skompromitowany, zwany u nas „big-bitem". Winne są wydawnictwa, i to wydawnictwa z prawdziwego zdarzenia, a nie te „lewe", „almanachowe". O tym, jaka jest młoda literatura, decydują wydawnictwa, bowiem ich produkt dociera do czytelników i krytyków. Okazuje się, że wydawnictwa są po prostu zawalone maszynopisami. Sam w obecnej chwili złożyłem maszynopis powieści dla dzieci „Przygody Cielaka-Łapserdaka" w Wydawnictwie PAX i od pół roku leży mój drugi maszynopis w Wydawnictwie Lubelskim. Oczywiście, sąd autora jest subiektywny (np. uważam, że aktualnie potrafię pisać „myśli" na poziomie St. J. Leca — i ten pogląd może być w końcu tylko moją prywatną sprawą). Ale czy rzeczywiście przez redakcyjne sita przechodzą te najlepsze obiektywnie rzeczy? Ejże, bo gdyby tak, to nie byłoby tej całej dyskusji. Otóż pracownicy redakcji wydawnictw wolą rzeczy niekontrowersyjne, „poprawne", „drukowalne", „nijakie" — a w konsekwencji: nieciekawe. Bo taki utwór się wydrukuje, puści w książce i ona nikomu nie pomaga, ani też szkodzi, i koleją rzeczy idzie na przemiał. Młody pisarz jest bezsilny. Z wielkim trudem zdobywa papier maszynowy (trudniej zdobyć solidną porcję papieru maszynowego, niż wziąć udział w jakimś „poetyckim okazyjnym almanachu"), przepisuje (niefachowiec) w pocie czoła na maszynie i po wielu miesiącach otrzymuje lakoniczną informację: „utwór nie został zakwalifikowany". Żadnych recenzji, uwag merytorycznych itp. Nie spodobał się widocznie jakiemuś urzędnikowi w redakcji. I nie ma żadnego odwołania, wypada mu tylko wysłać gdzie indziej lub przechowywać maszynopis w szufladzie, czekając aż się zupełnie zdezaktualizuje. Nie wiem dlaczego, ale odczuwam wyraźną niechęć, gdy słyszę słowa: „komisja artystyczna". Może to moje jakieś odległe skojarzenia z Festiwalem Piosenki w Opolu? Nieważne. Za dużo jednak się „wylewa dzieci z kąpielą" i dlatego młodzi więdną.

Adam Fiala

Kamena str. 10

Na tym zamykamy dyskusję o „pompowaniu pisarzy". Dziękujemy wszystkim uczestnikom i przepraszamy tych autorów, których wypowiedzi i listów nie byliśmy, niestety, w stanie wydrukować. Artykuł bilansujący dyskusję ukaże się w jednym z najbliższych numerów „Kameny".

Red.

Zamość jutra

Dokończenie ze str. 1

1956—57 podjęto pierwszą próbę remontu budynków położonych wokół rynku wielkiego, która w konsekwencji sprowadziła się — jednak w nietrwały zresztą sposób — do odnowienia elewacji pierzei rynku, kilkunastu klatek schodowych, modernizacji kilku sklepów i przebudowy niektórych dachów.

W 1961 r. Prezydium MRN opracowało pierwszy program remontów kapitalnych, opiewających na 165 mln zł. Program ten miał się stać podstawą do podjęcia przez KERM stosownej uchwały. Niestety, wskutek różnych przyczyn uchwały tej wówczas nie podjęto. W decydujący sposób zaważyło to na późniejszym trybie postępowania, bowiem dotychczas problem renowacji Starego Miasta nie otrzymał należnej rangi. Ostatecznie zdecydowano się na półśrodki w postaci ustalenia w Ministerstwie Gospodarki Komunalnej odpowiedniej wysokości kwot na remonty kapitalne budynków mieszkalnych i niektórych urządzeń komunalnych. Powstała więc w konsekwencji paradoksalna sytuacja: o ustaleniu wysokości nakładów decyduje nie program, lecz do z góry ustalonych środków należało dostosowywać realizację i to tylko w zakresie budynków mieszkalnych. Stan taki trwa do dzisiaj.

W rezultacie od 1964 r., tj. od przystąpienia do prac, wyremontowano zaledwie 19 budynków mieszkalnych z 330 izbami, 18 lokali usługowych, 1200 m sieci wodociągowej i ponad 400 m sieci kanalizacyjnej. Wybudowano także 100 mieszkań zastępczych i 8 lokali usługowych. Wyremontowany został zamojski Ratusz. W sumie pochłonęło to ponad 60 mln zł. Za mało, jak na rzeczywiste potrzeby Starego Miasta.

Dlatego z dużą aprobatą przyjęto decyzję o powierzeniu funkcji głównego konsultanta d/s renowacji zespołu staromiejskiego Zamościa prof. dr. Wiktorowi Zinowi. Oto, co mówi na temat Starego Miasta ten wybitny naukowiec:

— Chciałbym doprowadzić do tego, by nastąpiło ujednolicenie poglądów w sensie metod i harmonogramu działania co do Zamościa. Na pewno sprawy są trudne. W świetle konkretnych aktualnych warunków, tzn. kiedy są fundusze, dobra wola — zielone światło dla Zamościa w skali ogólnopolskiej i różnych władz — należy to wszystko, moim zdaniem, wykorzystać i przetransportować z kolei na język architektury.

— Jak wiadomo, Zamość za 10 lat obchodzić będzie 400-lecie. Jest decyzja, by właśnie w 1980 r. na 400-lecie odrestaurować Stare Miasto! Tempo dotychczasowych prac absolutnie nie zapewnia tego. Co, Pańskim zdaniem, należy zrobić, by jubileusz ten obchodzony był już w nowoczesnej oprawie starego Zamościa?

— To problem dość trudny. Albowiem Zamość, ten, który obejmuje 25 ha, Zamość Zamojskiego, stanowi — w tym i Stare Miasto — jądro i centrum wielkiego Zamościa. Myślę, że bardzo ważną sprawą jest perspektywiczne działanie i zdanie sobie sprawy: co będzie z Zamościem w roku 2000. Naturalnie 400-lecie miasta można odpowiednio wygrać. A jeśli chodzi o zagadnienia budowlane, urbanistyczne, o wykonawstwo, poprzedzone projektem, studiami, to owe 10 lat nie jest znów tak długim okresem. Proszę sobie zdać sprawę z tego, że w Zamościu istnieje co najmniej kilkanaście obiektów, pozostawionych bez opieki od pierwszej połowy XIX wieku do naszych chwil. Dość, że wymienię starą lubelską bramę. Kiedy Zamojski w 1588 r. zamurował ją ogłaszając przed światem: „Mój wielki więzień, arcyksiążę Maksymilian, przejechał, nie śmie tędy noga przeciętnego śmiertelnika jechać" — ta brama tak i stoi do dnia dzisiejszego. To jest zabytek pierwszej klasy, dzieło Moranda. A w tej chwili tam jest wielki śmietnik. Nie wyobrażam sobie, żeby 400-lecie miasta Zamościa mogło zastać ten zabytek w tym stanie. Przykład drugi: mamy w Zamościu unikat na pewno w skali europejskiej: arsenał Zamojskiego. Opisy swego czasu mówiły: „To nie jest tylko arsenał, to jest wielkie muzeum, gdzie Zamojski zgromadził proporce, sztandary, broń". W chwili obecnej mieści się tu zakład terenowy. Są ustawione maszyny, które wibrują, arsenał wnet się rozleci. Sądzę, że muzeum broni w Zamościu to nie tylko mądrzejsze wykorzystanie tego arsenału, ale także kapitalna placówka, która uczyłaby patriotyzmu, byłaby ośrodkiem wychowania młodzieży. Zamość to przecież nie tylko wspaniały obiekt architektoniczny, ale także miasto-bohater.

— Gwoli ścisłości dodać trzeba, że autorem projektu właściwego zagospodarowania arsenału jest właśnie zespół pod Pana kierownictwem...

— Tak, kończymy go obecnie w Instytucie Politechniki Krakowskiej. Zajmujemy się problemami arsenału, akademii zamojskiej i amfiteatru. Ten ostatni — może ktoś powiedzieć — to przecież nowa inwestycja na 3 tys. miejsc. Tak, ale jednocześnie rekonstruujemy rewelacyjną rzecz w skali krajowej — pierwsze fortyfikacje z 1809 r., most zwodzony, który tam został odkryty. Słowem te wspaniałe dzieła forteczne, o których do niedawna nie wiedzieliśmy.

— Jakie więc Pan widzi etapy prac, żeby problem restauracji Starego Miasta był konkretnie realizowany?

— Pierwsza rzecz — powinien być obsadzony etat Miejskiego Konserwatora Zabytków. Sprawa druga — w Zamościu musi powstać biuro projektów, jednostka, która by tylko Zamościem była zajęta i zainteresowana. To nie może być „kochanie" na odległość. Następnie — kwestia wykonawstwa. Mnie się wydaje, że w tym tempie, w jakim w tej chwili sprawy są reali-

Listy do KAMENY

„Siąść i płakać czy rozliczać?"

W związku z artykułem pt. „Siąść i płakać czy rozliczać" red. Jerzego Dostatniego w numerze 19 (452) Waszego dwutygodnika, Okręgowa Dyrekcja Inwestycji Miejskich — „Południe" w Lublinie wyjaśnia co następuje:

Artykuł wykazał niedomogi organizacji inwestycji Osiedla Mieszkaniowego w Poniatowej powstałe w okresie tuż przed wprowadzeniem nowych zasad organizacji procesu inwestycyjnego. Stwierdzone niedociągnięcia są jaskrawymi przykładami uzasadniającymi wprowadzenie nowej polityki inwestycyjnej.

Specyficzna historia organizacji przedmiotowej inwestycji wymaga przedstawienia okoliczności towarzyszących przygotowaniu tej inwestycji.

Przygotowanie inwestycji Osiedla Mieszkaniowego przy ul. Rewolucji Październikowej w Poniatowej rozpoczęto w 1967 r. na zlecenie Zakładów Elektro-Maszynowych „EDA" w Poniatowej. W 1967 r. ODIM — „Południe" przygotowało założenie projektowe w postaci programu inwestycyjnego oraz wymaganych przepisami uzgodnień. Między innymi wykonawca, Puławskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego, uzgodnił wykonawstwo budynków w metodzie tradycyjnej.

Wstępny projekt opracowany w maju 1968 r. przewidywał możliwość wykonania na przydzielonym terenie czterech budynków mieszkalnych.

Tym opracowaniem został zamknięty etap przygotowania terenu pod zabudowę.

Na podstawie zatwierdzonego projektu wstępnego Zakłady „EDA" zlecają ODIM przygotowanie inwestycyjne dwóch budynków mieszkalnych do realizacji w 1969 r. W założeniach projektowych notatką służbową z dnia 23 stycznia 1968 r. ponownie została uzgodniona technologia wykonawstwa. Puławskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego uzgodniło metodę następująco:

„Wykonawca uzgadnia metodę wykonawstwa w technologii tradycyjnej wg projektu z wojewódzkiego zestawu projektów. W wypadku realizacji w jednym roku większej ilości obiektów (ponad dwa budynki) wykonawca proponuje metodę wielkoblokową".

Zgodnie z tym ustaleniem Lubelskie Biuro Projektów Budownictwa Ogólnego w Lublinie opracowało dokumentację techniczną na budynki mieszkalne nr 2 i 3 w terminie do 30 listopada 1968 roku i zrealizowały zapłatę za to opracowanie w wys. 101 340 zł. Dokumentacja po sprawdzeniu i zatwierdzeniu została w dniu 19 grudnia 1968 r. przekazana do wykonawcy.

Zakłady „EDA" w styczniu 1969 r. zabezpieczyły finansowanie inwestycji na podstawie opracowanej dokumentacji.

Tym etapem zamyka się okres przygotowania inwestycji do realizacji. Należy podkreślić, że przygotowanie to przeprowadzono jak najbardziej prawidłowo.

Od tego momentu rozpoczyna się okres zmian w przygotowanej już inwestycji prowadzący w efekcie do wielu niezgodności z obowiązującymi przepisami.

Wykonawca występuje z wnioskiem o zmianę technologii wykonawstwa. Zwraca się do tego Spółdzielnia Mieszkaniowa w Opolu, która 18 listopada 1968 r. występuje ze zleceniem powierzenia inwestycyjnego na trzeci budynek mieszkalny w osiedlu z realizacją w 1969 r. ODIM nie mogła przyjąć zlecenia ze względu na niemożliwość przygotowania dokumentacji w tak krótkim czasie.

Wykonawca w porozumieniu z Zakładami „EDA" organizuje w dniu 11 lutego 1969 r. spotkanie wszystkich uczestników procesu inwestycyjnego u Wojewódzkiego Architekta. Na spotkaniu tym zapadają decyzje: a) wprowadzenie do realizacji 1969 roku trzech budynków mieszkalnych w metodzie uprzemysłowionej (2 budynki dla Zakładu „EDA" i jeden budynek dla Spółdzielni), b) zabezpieczenie pełnej zamiennej dokumentacji techniczno-kosztorysowej na budynki przez wykonawcę, tj. Puławskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego, którego wnioskowało zmianę technologii.

W wykonaniu powyższych ustaleń Puławskie PBO po wielu staraniach ukończyło opracowanie dokumentacji w Lubelskim Biurze Projektów Budownic-

zewane, nie można długo pracować. Tu musi być to, co się nazywa koncentracją środków i wysiłków. Muszę tu powiedzieć, że Zamość znalazł w tej chwili człowieka, który popiera jego interesy — to jest przewodniczący Prezydium WRN mgr Ryszard Wójcik. Właśnie w porozumieniu z lubelskimi instancjami partyjnymi doprowadził do tego, że Zamość ma przyrzeczone duże środki i priorytet. To chyba są te najważniejsze kroki.

— To budzi nadzieje, że o tym 2000 roku w Zamościu można będzie mówić wiele spokojniej za kilka lat.

— Ja bym jeszcze nie był takim optymistą. Jako konsultant chcę na posiedzeniu WRN w Lublinie przedstawić sprawy negatywne. Rośnie np. liczba mieszkańców Zamościa. Co robić w takich obiektach stabilnych, zabytkowych, gdzie nie jesteśmy w stanie poszerzać ulic, zmieniać układu? Potrzebne jest elastyczne podejście wymagające w przyszłości dostrojenia do istniejącej już staromiejskiej dzielnicy nowych dzielnic, żeby nie doprowadzić w przyszłości do „zawału zabytkowego" miasta. A to grozi nie w sensie zawalenia domów, lecz w sensie takiego otoczenia nowoczesnością, że automatycznie wartości stare mogą być zatracone. Życie nowoczesne jest potwornie agresywne i mocne.

— Kiedy więc, Pańskim zdaniem zamojskie Stare Miasto „zabłyśnie" pełnią blasku?

— Boję się odpowiedzieć na to pytanie. Pan mówił o Starym Mieście, świecącym pełnią blasku. Rodzi się pytanie: co to ma być? Czy to mają być mieszkania dla ludzi? Czy to mają być hotele? Czy to mają być urzędy? Żeby świeciło blaskiem, to powinny być mieszkania. Nie możemy tego zmienić na wielkie muzeum. A jeśli mieszkania — to jakie, dla kogo? Sądzę, że Zamość powinien w przyszłości mieć wyższą uczelnię, bo do tego zmierzamy. Jeśli tak — to będzie to młodzież specjalnych wydziałów, to będzie świat nauki, ludzie sztuki. Może by wyjść od socjologii, a nie od urbanistyki? I gdybyśmy na te pierwsze najważniejsze pytania potrafili sobie odpowiedzieć, to wtedy moglibyśmy pójść dalej. Bo przecież nie możemy ludzi, którzy tam się wprowadzą, postawić przed takim faktem: „Proszę państwa, dajemy wam zabytkowe mieszkania, ale wy nam w zamian za to podpiszcie deklarację, że rezygnujecie z gazu, łazienki itp. Absolutnie nie. To jest kwestia mądrej, bardzo przemyślanej modernizacji, ale takiej, aby przy okazji „nie wylać dziecka z kąpielą".

— Trzeba więc mieć nadzieję, że tak wielostronna, fachowa opieka będzie procentować dla tego miasta.

— To są sprawy wspólne: wojewódzkiego konserwatora, władz wojewódzkich i miejskich, instancji partyjnych. W miarę możliwości będę pomagał, bo tak się składa, że dosłownie od 20 lat tym miastem żyję. Dobrze znam w tej chwili Zamość. I ciągle nad nim pracuję. Odkrywa się dużo rzeczy nowych, do niedawna nie znanych. Zobaczymy, jak to wyjdzie. Może wywiad w następnym roku będzie bardziej optymistyczny, bo w tym, zdaje się, przewijały się jeszcze nuty pesymizmu...

Rozmawiał
Franciszek Malinowski

moje LEKTURY

Oblicza humanizmu

ZANIM „Mały Książę" stał się dla mnie jedną z najmilszych książek, zetknąłem się z nazwiskiem Antoine'a Saint-Exupéry'ego dużo wcześniej. W gimnazjalnej bibliotece znalazłem kiedyś przedwojenne wydanie „Nocnego lotu"; książkę ową, oprawioną w czarne płótno, zapamiętałem dobrze, utrwalił mi się jej tytuł, z lektury nie pozostało jednak chyba nic. Najpewniej „Nocny lot" był dla mnie książką przedwczesną.

A potem przyszło olśnienie prozą „Małego Księcia", łatwo zgodziłem się z powiedzeniem Jana Dobraczyńskiego, że jest to najpiękniejsza bajka dwudziestego wieku. Bajka dla dzieci i dorosłych. Myślę, że wielu polskich czytelników właśnie od „Małego Księcia" zaczynało swoją przygodę z francuskim pisarzem. Ale i inne jego książki znikały, nie wszystkie zresztą dotąd przetłumaczone. Równolegle do zainteresowań czytelniczych trwało krytyczne rozpatrywanie dzieła Saint-Exupéry'ego, przynosząc sporo wnikliwych i pogłębionych jego ujęć. Najpierw zresztą ukazał się przekład francuskiej książki M. Migeo o autorze „Cytadeli", dopiero później ukazała się monografia polskiego pióra A. Bukowskiej „Saint-Exupéry czyli paradoksy humanizmu".

Książka Władysława Kwiatkowskiego, lubelskiego badacza, który — jak twierdzą ludzie wiarygodni — najlepiej na polskim gruncie wprowadzony jest w sekrety spraw Saint-Exupéry'ego, pojawiła się więc na terenie nieźle przygotowanym. Kwiatkowski opublikował wcześniej kilka prac na ten temat w prasie fachowej i dowiódł swego świetnego przygotowania do roli monografisty twórczości francuskiego pisarza. Tytuł książki wskazuje na zbieżność z pracą Bukowskiej, ale jest to tylko podobieństwo punktu wyjścia. Humanizm twórczości Saint-Exupéry'ego nie ulega bowiem wątpliwości. Jaki to jednak humanizm — na takie pytanie różnie można odpowiedzieć i dojść do odmiennych rozwiązań. Ale obie polskie książki powstały niezależnie od siebie i nie ma tu potrzeby porównywania ich. Przyjrzyjmy się zatem wyłącznie książce Kwiatkowskiego.

Autor w kolejnych rozdziałach zajmuje się różnymi stronami humanizmu Saint-Exupéry'ego. Nazywając pisarza poetą czynu zwraca uwagę, że ukazuje on człowieka w stałej przemianie, która prowadzi go do coraz doskonalszych wcieleń, równocześnie zaś działanie łączy człowieka z innymi ludźmi, ze światem. Rozdział drugi pracy ukazuje, dowodzi, że Saint-Exupéry stawia człowieka w sytuacjach, które wymagają niekiedy przekraczania granic człowieczeństwa. Pamiętamy z „Ziemi, planety ludzi" dramatyczne wyznanie jednego z bohaterów: to, co on zrobił, nie zrobiłoby żadne zwierzę. Człowiek widziany jest tu w rozwoju pionowym, prowadzącym ku postawie heroicznej, będącej udziałem wielu postaci stworzonych przez autora „Nocnego lotu". Pod tym względem jest on zjawiskiem wyjątkowym w dwudziestowiecznej literaturze francuskiej, która widzi człowieka raczej w upadkach, poniża go i stawia w stan oskarżenia.

Ostatni z głównych rozdziałów nosi tytuł „Samotność człowieka i więzy międzyludzkie", w którym Kwiatkowski zarysowuje podstawowe cechy humanizmu A. Saint-Exupéry'ego. Jest to humanizm akceptacji świata i zakorzenienia człowieka w społeczności ludzkiej, humanizm dynamiczny, ukazujący człowieka w drodze i wobec coraz wyższych wymagań.

Książkę Kwiatkowskiego zamykają bardzo cenne dopełnienia w postaci przeglądu publikacji o autorze „Małego Księcia", kalendarium jego życia oraz bardzo dokładnej i obszernej bibliografii. W sumie cała praca stanowi świetne wprowadzenie do twórczości Saint-Exupéry'ego. Sprawia to także sposób napisania książki. Kwiatkowski świadomie zrezygnował z jakichkolwiek zamiarów interepretacyjnych; jego książka ma za zadanie rekonstrukcję całego dzieła pisarza na wybranej płaszczyźnie, posługując się niezwykle obficie cytatami z jego dzieł i z całego mnóstwa opracowań. Już A. Bukowska zauważyła, że wszystkich autorów piszących o Saint-Exupérym nachodzi „nieodparta pokusa cytowania". Otóż Kwiatkowski cytowanie włączył do swoich założeń pisarskich całkiem świadomie, niekiedy odnosi się wrażenie, iż zbytecznie dokumentuje niektóre wypowiedzi, nadużywa cydzysłowów, chowając się niejako za przywoływanymi autorami. Nie miałbym jednak tego za złe. Ogrom przebadanego i przyswojonego materiału domagał się zużytkowania, przy tym Kwiatkowski przywołuje wszelkie cytaty bardzo zręcznie, całą mozaikę, jaką jest książka, układa z wielką swobodą i umiejętnością. Czytelnik nigdy nie czuje się przytłoczony, raczej jest wdzięczny autorowi za stworzenie swoistej sumy sądów i opinii.

Z książki wyłania się zadziwiająca na tle współczesności postać człowieka, którego nazwano współczesnym bohaterem w dosłownym znaczeniu, oraz pisarza, który — jak zauważył Jules Roy — odkrył niebo i przestworza, jak Conrad odkrył morze. Sukces tego pisarza także u współczesnego czytelnika wypływa stąd, że cała jego twórczość *to żarliwa apologia nieustannej przemiany życia człowieka w wartości, które go przerastają.*

Tadeusz Klak

Władysław Kwiatkowski: Humanizm Saint-Exupéry'ego. Warszawa 1969. Instytut Wydawniczy PAX. Liczne ilustracje.

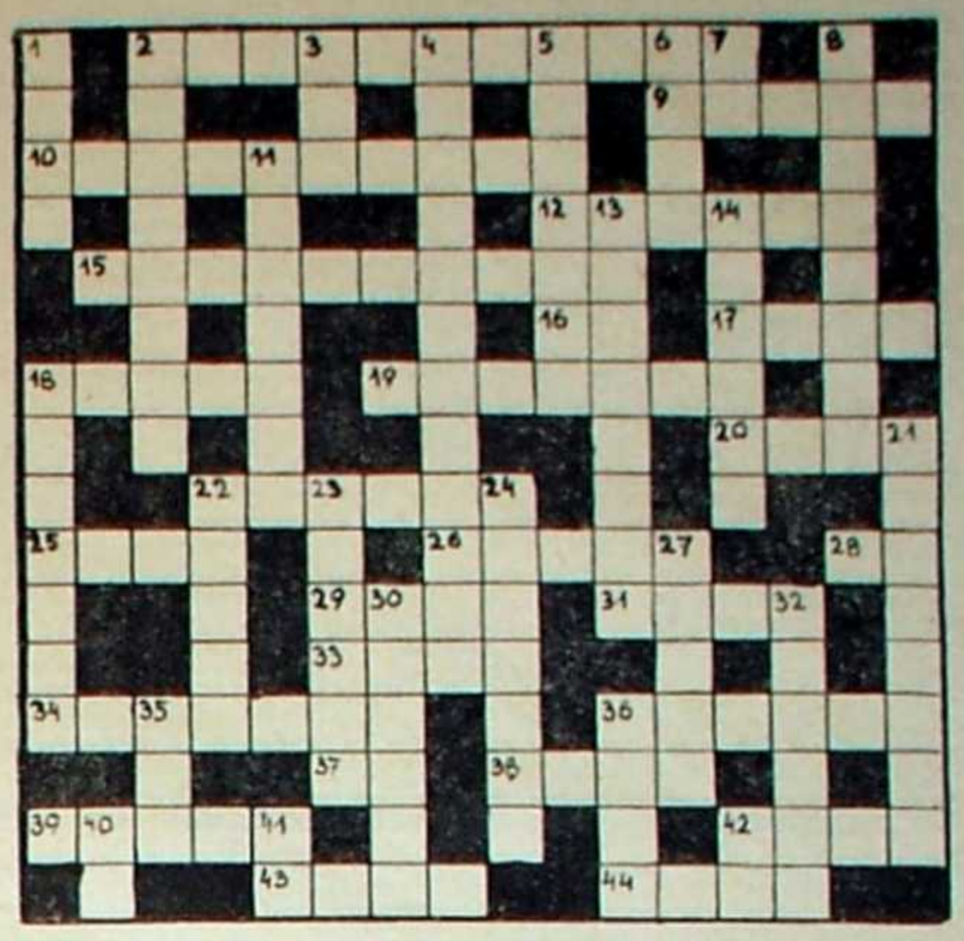

Krzyżówka nr 21

Poziomo: 2. pisarz polski, autor „Śmierci gubernatora", 9. piewca Tatr i Podhala, 10. walka na białą broń, 12. biały ser, 15. powieść 2 poziomo, 16. miara powierzchni, 17. jednostka siły, 18. bat, 19. zagarnięcie obcych ziem, 20. produkt pszczeli, 22. ściągnięcie się włókien mięśni, 25. napój alkoholowy, 26. marynarskie łóżko, 28. staroegipski bóg, 29. imię wieszcza, 31. monarszy fotel, 33. aureola, 34. narzędzie murarza, 36. dramat 2 poziomo, 37. symbol glinu, 38. pierwsze danie, 39. metr, litr, gram, 42. rosyjska zupa rybna, 43. skandynawska legenda, 44. starorzymskie bóstwa lokalne.

Pionowo: 1. pismo, 2. spalenie zwłok, 3. kompozytor rosyjski z „Potężnej gromadki", 4. powieść 2 poziomo, 5. młyn napędzany powietrzem, 6. 60 sztuk, 7. symbol pierwiastka chemicznego o liczbie atomowej 77, 8. niezapisany brzeg papieru, 11. autorka „Trędowatej", 13. miejsce pracy rzemieślnika, 14. góry w NRD i CSRS, 18. sędzia, adwokat, 21. starożytny pojazd bojowy lub wyścigowy, 22. miasto we lwowskim obwodzie USRR, 23. jedna z muz, 24. rzeka w Afryce, 27. do pisania na tablicy, 30. rozmowa, 32. dramat 2 poziomo, 35. imię autorki „Wędrówek Joanny", 36. minerał lub tkanina, 40. luźna skała osadowa, 41. powieść Dygasińskiego, 42. jedno z głównych miast — państw sumeryjskich.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 19

Poziomo: Reyment, Kuc, okaz, Iza, Zośka, kanapa, kot, kłamstwo, Somali, wieko, elki, Irak, pisolett Samoa, EM, Eros, Amilcare, front, baran Aza, siarczan, karman, chadecja, iks, Ate, ratunek, NIK, Angara, Władysław.

Pionowo: ego, orator, tok, Szał, błam, kartel, Chłopi, KA, ankieter, Ziemia obiecana ŚK, kos, parol, awiacja, lis, masarnia, Komediantka, eter, klon, Kama, Pol, minaret, rocznik, Stanisław, Fermenty, SK, ar, Ca, dama, cena, Wkra.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 19 nagrody wylosowali:

Franciszek Litwiński, Lublin, ul. Skłodowskiej 28 m. 8, Tadeusz Abratowski, Gorlice 3 (woj. rzeszowskie) ul. Michalusa 9, Bogumiła Trus, Lublin, Droga Męcz. Majdanka 61 m. 3, Stanisława Widz, Kraśnik Lub., ul. Świerczewskiego 115.

Najmłodsze „Przemiany"

Województwo kieleckie otrzymało własne pismo społeczno-kulturalne, miesięcznik „Przemiany". Dzięki temu tamtejsze środowiska twórcze i naukowe zyskały wreszcie własną trybunę, przez którą będą mogły trafiać do społeczeństwa Ziemi Kieleckiej, a także do innych rejonów kraju. W krótkim słowie wstępnym czytamy m. in., że nie będzie to pismo wyłącznie regionalne, gdyż to groziłoby zaskorupieniem i partykularyzmem.

Z inauguracyjnych materiałów wymienić należy rozmowę z kierownikiem Wydziału Kultury KC PZPR Wincentym Kraśką oraz artykuł I sekretarza KW PZPR w Kielcach T. Rudolfa. Dalej J. Głębocki pisze o jedynym w Polsce, a mającym swoją siedzibę w Kielcach przedsiębiorstwie budującym mosty w całym kraju, o wielkich przemianach w Kozienicach dowiadujemy się z reportażu B. Zapały „Róża wiatrów". Wiejskim dramatem rodzinnym o dużej aktualności społecznej zajmuje się B. Rajchert w „Sprawie dla jednego". Jest oczywiście proza literacka, poezja, wspomnienia, noty.

Kolegom z „Przemian" życzymy coraz lepszych numerów, sukcesów w podejmowaniu inicjatyw twórczych i społecznych i uznania czytelników. Pierwszy numer upoważnia tu do dużego optymizmu.

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Informujemy naszych sympatyków o zdarzeniu nadzwyczajnej wagi. Otóż znany na tych łamach p. K. P. z Borkowa Starego nadesłał, ręcznie napisany, tom poezji pt. „Po rozjątrzeniu mego serca. Rozmiliardowienie mego serca". Tom ów stanie się przedmiotem wnikliwej analizy redaktora Poste-Restante, co — niestety — musi zabrać nieco czasu. Uprzednio więc, chcąc zrobić przyjemność pracowitemu autorowi oraz jakoś mu zrekompensować czas strawiony na kompozycji tomu, publikujemy jeden z dawniejszych łużno nadesłanych erotyków p. K. P.:

MIŁOŚĆ PRZED I PO...

Kiedy Cię ujrzałem,
To zaniemówiłem
I nie mogłem złapać tchu.
A myślałem sobie, próżno się łudziłem,
Bo Ty chciałaś, żebym spuchł.

Ten bek, ten bek, ten bek
To jest mój los.

Teraz wiem na pewno,
Że jesteś jak drewno.
Nawet kamień nie tknie Cię.
Najwyżej laserem
Zrównam Cię do zera.
Zresztą nie ośmielę się.

Ten bek, ten bek, ten bek
To jest mój los.

By już muzie poezji erotycznej oddać całkowitą sprawiedliwość i by troszkę pocieszyć autora, który się podpisał pseudonimem „Smutny", ogłaszamy tekst następujący:

BO TAK NAM BYŁO POTRZEBA SIEBIE

Budowniczym twojego pragnienia
i bezgłośnego dobrobytu chwili
być chciałem usłnie.
Lecz kilka słów smutnych
Odwróciło nasze oczy.
Chciałem być z tobą.
Rozpaczą byłem, gdy jak ptak górski
szuka schronienia, szukałem twoich włosów i nocy.
Ty byłaś we mnie.
Najdroższa — pragnąłem dla twej ciszy
pozrywać gwiazdy jak świeże wiśnie,
Jak róże białe do stóp twoich cisnąć razem z kwiatami.

Wielce złożoną formę może przybierać ludzkie uczucie.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch" Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unieka 4.

Adres redakcji:

Lublin, ul. Narutowicza 38

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencje zwykła prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

L.Z.Graf. Zam. 3596. 7.X.70. B609. Z-3

twa Ogólnego. Opracowanie przyjął terenowy zespół projektowy w Puławach, podlegający Pracowni Projektowej nr 4 w Lublinie, podczas gdy pierwszą dokumentację wykonywała Pracownia nr 2.

Zlecenia Spółdzielni Mieszkaniowej w Opolu (na trzeci budynek) Lubelskie Biuro Projektów B. O. nie przyjęło, a więc Spółdzielnia zleciła opracowanie dokumentacji tym samym projektantom w Puławach.

Bliższych okoliczności dotyczących lokowania powyższych zleceń ODIM nie zna.

Według umowy zawartej z Biurem Projektów dokumentacji miała być opracowana: a) na budynek nr 2 w terminie do 5 lipca 1969 r., b) na budynek nr 3 — do dnia 30 września 1969 r.

Terminy powyższe nie zostały przez Biuro Projektów dotrzymane.

Mimo braku dokumentacji wykonawca rozpoczął roboty opierając się na dokumentacji analogicznych budynków oraz na dokumentacji fragmentarycznie dostarczanej przez Biuro Projektów.

Interwencje ODIM w sprawie dostarczenia dokumentacji przez wykonawcę nie odnosiły skutku w związku z opóźnieniami Biura Projektów.

W dniu 16 sierpnia 1969 r. kontrola budowy osiedla w Poniatowej, przeprowadzona przez naszą jednostkę nadrzędną, Wojewódzki Zarząd Inwestycji Miejskich, wykazała całkowity brak dokumentacji oraz aktualnego pozwolenia na budowę (wykonawca wykonał roboty na podstawie pozwolenia na metodę tradycyjną). WZIM wydał nakaz kategorycznego uporządkowania tej inwestycji, a przede wszystkim wyegzekwowania od wykonawcy dokumentacji. Wykonawca nie mógł jednak uzyskać dokumentacji od LBPBO.

Dokumentacja została dostarczona 19 grudnia 1969 r., lecz tylko w części dotyczącej budynków, bez dokumentacji na roboty zewnętrzne.

Badanie dokumentacji wykazuje szereg braków i usterek, a więc zostaje ona zatwierdzona pod warunkiem wykonania poprawek i uzupełnień.

W związku ze stwierdzeniem szeregu nieprawidłowości i braku pełnej dokumentacji, inspektor nadzoru ODIM w dniu 13 stycznia 1970 r. dokonuje wpisu do dziennika budowy nakazującego wstrzymanie budowy do czasu załatwienia formalności koniecznych dla realizacji inwestycji.

Niezależnie od wpisu do dziennika budowy inspektor nadzoru zawiadamia o sytuacji Wydział BUA przy PPRN w Opolu. W dniu 21 stycznia 1970 r. Powiatowy Architekt kontroluje budowę i po stwierdzeniu braku pozwolenia na budowę, oraz uchybień w wykonawstwie „zagrażających bezpieczeństwu i zdrowiu publicznemu" — wydaje decyzję o zatrzymaniu budowy.

Po uporządkowaniu spraw ODIM — „Południe" uzyskał pozwolenia na budowę w dniu 26 marca 1970 r.

Sprawa wykonania poprawek i uzupełnień dokumentacji przez biuro projektów stała się odrębnym w sobie zagadnieniem. Biuro projektów opóźniło wyjaśnienie usterek i braków wykazanych przez ODIM — „Południe".

Zamiast dokonać uzupełnień, biuro projektów organizuje w dniu 29 kwietnia 1970 r. naradę u podwykonawcy w Lubelskim Przedsiębiorstwie Instalacji Sanitarnych. O naradzie ODIM zostaje powiadomiony przed godziną 13-tą dnia poprzedniego, a więc bez wyprzedzenia i to wtedy, gdy w tym samym terminie została zorganizowana wcześniej narada w Banku Inwestycyjnym o większej wadze zagadnienia, gdyż dotyczyła wyjaśnień nieprawidłowości w realizacji osiedla w Poniatowej. Nieobecność przedstawiciela ODIM (z powodów jak wyżej) została wykorzystana na sporządzenie notatki służbowej ze stwierdzeniem niesłuszności zarzutów w stosunku do dokumentacji.

Oczywiście ODIM spowodował ponowne spotkanie, na którym podjęto właściwe ustalenia. Po złożeniu opóźnionych wyjaśnień przez LBPBO oraz zajęcia stanowiska przez wykonawcę ODIM zmuszony był do organizacji następnych spotkań. W efekcie rozmów z biurem projektów pewną część braków w dokumentacji uzupełniono, a w stosunku do projektu centralnego ogrzewania przyjęto zapewnienie biura projektów o prawidłowości projektu z zobowiązaniem odpowiedzialności biura za jakość rozwiązań.

Biuro projektów wnioskowało, że ewentualne niezgodności może uporządkować w ramach nadzoru autorskiego. Nadzór ten jednak nie mógł być zlecony z braku funduszy na ten cel. Charakter inwestycji nie wymagał tego rodzaju nadzoru i dlatego Biuro Projektów (!?) nie ujęło tego w kosztach budowy. Ostateczne skutki i wpływ uchybień w dokumentacji na przebieg realizacji i koszt inwestycji będą znane dopiero po zakończeniu obiektów. Należy się obawiać pewnych perturbacji w obecnym etapie robót wykończeniowych.

Reasumując powyższe należy stwierdzić, że przyczynami stwierdzonych niedociągnięć w prowadzeniu inwestycji było: 1) zbyt późne wprowadzenie zmian w dokumentacji i niewywiązanie się LBPBO z podjętych w umowie terminów; 2) rozpoczęcie robót przez wykonawcę bez dokumentacji.

Brak zatwierdzonej dokumentacji doprowadził do wystąpienia przeróbek w postaci podanej w artykule przebudowy ścian łazienek itp.

ODIM zgodnie z obowiązującymi przepisami sprzeciwiała się zmianom, które nie miały pokrycia w terminowym przygotowaniu dokumentacji. Poprzednia dyrekcja wykonawcy zbyt odważnie przyjęła na siebie zobowiązania, których nie mogła wykonać. Nie wytrzymują krytyki tłumaczenia projektantów, że zostali zmuszeni do przyjęcia zlecenia na opracowanie dokumentacji. Zaprzecza temu fakt prywatnego przyjęcia zlecenia na trzeci budynek.

ODIM znajdowała się w trudnej sytuacji i miała dużo przykrości z tytułu takiego stanu rzeczy, ale musiała się w końcu włączyć dla ratowania inwestycji.

Ze względu na potrzeby mieszkaniowe tak ważnego zakładu, jakim są Z.E.M. „EDA", realizacja inwestycji miała kapitalne znaczenie i tylko to mogło uzasadniać realizację w takich warunkach i skłaniać uczestników procesu inwestycyjnego do tego rodzaju decyzji.

Obecnie obowiązujące w inwestycjach przepisy nie dopuszczają zupełnie tego rodzaju praktyk. Zagadnieniem do uporządkowania pozostaje sprawa jakości i terminowości opracowań dokumentacji przez niektóre biura projektowe.

W zakresie przedstawionych wyjaśnień ODIM — „Południe" może przedstawić do wglądu posiadane u siebie dokumenty.

Przedstawiając powyższe ODIM — „Południe" dziękuje Redakcji za podjęcie tematu, który ma na celu porządkowanie polityki inwestycyjnej, a więc wyjścia naprzeciw trudnościom, z którymi parają się Dyrekcje Inwestycji Miejskich.

Inż. Eugeniusz Struzik
Naczelny inżynier
Zastępca dyrektora

ekran i estrada

„Żywe słowo"

WYBRAŁEM się któregoś dnia na „Trubadurów". Pod skrzydłami lubelskiej „Estrady" koncertowali w Domu Kultury Kolejarza w Lublinie.

Koncert popołudniowy. Na sali publiczność w wieku od 14 do 17 lat. Przypuszczalnie taka sama publiczność zjawiła się na koncercie wieczornym, bo w końcu przecież na „Trubadurów" nie walą ławą dorośli, tylko nastolatki. Występy zespołów młodzieżowych organizuje się przede wszystkim z myślą o młodzieżowej widowni i należałoby przypuszczać, że taki cel przyświecał w danym wypadku i „Estradzie".

I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie fakt, że piosenkarze oraz gitarzyści — też ludzie i nawet oni w czasie dwugodzinnego koncertu muszą mieć chwilę wytchnienia. Najprostszym wyjściem wydawałoby się zrobienie piętnastominutowej przerwy, o co publiczność z pewnością by się nie obraziła. Jednakowoż organizatorzy postanowili przerwę między dwiema częściami koncertu wypełnić dodatkowymi produkcjami artystycznymi, czyli tak zwanym „żywym słowem".

I oto — po serii przebojów młodzieżowych, krajowych i zagranicznych, na estradzie pojawił się ni z tego ni z owego niejaki pan Gałązka. Pan Gałązka miał w repertuarze trzy „kawałki": monolog komiczny, występ parodystyczny oraz popis brzuchomówstwa. W monologu komicznym wiele miejsca poświęcił „dywagacjom" na tematy alkoholowe oraz na temat tego, „co pan wiesz, a ja rozumiem". Skrzył się ten monolog dowcipem wyrafinowanym, przedniego gatunku, że niech się nawet słynna orkiestra „Małego Władzia" schowa ze swoimi przyśpiewkami. Bez przesady: za te swoje parę złotych, wydanych na bilet, można się było uśmiać po pachy. Toteż młodzież wypełniająca — jak się rzekło — widownię do ostatniego miejsca, zaśmiewała się do łez. Choć trzeba stwierdzić z żalem, że chwilami nie potrafiła wychwytać niektórych smaczków i aluzyjek, szczególnie gdy chodziło o dolno-tylne części ludzkiego ciała. Wiadomo — za młodzi, brak doświadczenia!

Ze względu na brak miejsca w tym felietonie, nie będę już szerzej opisywał, jak pięknie pan Gałązka parodiował następnie stare baby i niedorozwiniętego wiejskiego chłopaczka (np. dziennikarz przeprowadza wywiad radiowy z osiemdziesięcioletnią staruszką: „Z kim mam przyjemność"? — pyta. „Panie — odpowiada staruszka rechocąc obleśnie — jaka ze mną przyjemność? W moim wieku?"), jak wyciągnął na koniec skądciś taką zmyślną lalkę, co gadała jak żywa do publiczności — ale właściwie to ten artysta gadał, a nie lalka, tylko, że jakoś tak zabawnie głos mu z brzucha szedł... W każdym razie zabawy było co niemiara.

Tak mi się ten występ podobał, że myślę, iż warto by było, żeby „Estrada" zaangażowała na stałe pana Gałązkę na występy w młodzieżowych imprezach. Mam zresztą jeszcze kupę innych propozycji na uatrakcyjnienie występów zespołów beatowych i zapełnienie luk w programie. W przerwach występów „Breakoutu" mogliby się produkować prestidigitatorzy albo połykacze ognia. Jako akcent humorystyczny do występu „Skaldów" można dodać bieg w workach wzdłuż widowni. Do „NO TO CO" pasowałaby jak ulał kobieta z brodą, a do „Dżambli" — pokazy konika-garbuska w klatce z wodotryskiem.

Ale mówmy poważnie. Od lat na łamach prasy, w radio i telewizji, w zakładach pracy, domach kultury toczy się nieustanna dyskusja na temat zapewnienia młodzieży godziwej rozrywki, na temat kształtowania jej gustów i upodobań artystycznych. Istnienie tej dyskusji niejednokrotnie wydaje się zupełnie nie docierać do świadomości pewnych instytucji, które nieraz w znacznej mierze mają wpływ na kształtowanie właśnie tej młodzieżowej kultury.

Zaś wracając do opisanego powyżej przypadku: jest przecież chyba — na Boga! — w lubelskiej „Estradzie" ktoś odpowiedzialny za sprawy artystyczne. I jeżeli jeszcze pewne „produkcje" można ostatecznie puścić dla dorosłej widowni, to przecież skandaliczną jest rzeczą, gdy trywialne, prymitywne teksty pozwala się prezentować przed kilkunastoletnimi dziewczętami i chłopcami. „Skąd oni tacy zepsuci?" — pyta później ten i ów ze zgrozą. „To wszystko przez te cholerne decybele" — odpowiada sobie zaraz, jako że to odpowiedź najłatwiejsza.

M. D.

MINUTA MYŚLENIA

Kwestio-pytanie

„PRASA POLSKA" — nie interesujący przeciętnego czytelnika organ Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich za pośrednictwem pisma poruszający sprawy wewnątrzredakcyjne prowadzi rubrykę pt. „Słownik języka nibypolskiego". Rubryka ta dość przydatna, ponieważ uwiecznia błędne zwroty językowe trafiające się na łamach naszej prasy bez względu na tematykę, częstotliwość i miejsce wychodzenia. Podobna „camera obscura" odnośnie języka używanego w biurach i urzędach jest raczej formą publikacji niepisanej, rozchodzącej się za pośrednictwem nie pozbawionych słusznej ironii przekazów ustnych. W jednym i drugim wypadku traktuje się o sformułowaniach błędnych, obcych naturze języka polskiego, żargonowo czy biurokratycznie wydziwaczonych.

Istnieje jednak w naszym życiu maniera językowa w gruncie rzeczy nie kolidująca ze składnią ani stylistyką, natomiast tyle obsesyjna i dokuczliwa, że domagająca się podobnego jak tamte napiętnowania z przymieszką zgryźliwej ironii. Chodzi o słowa podwójne, wyrazy w pisowni łączone kreską zwaną dywizem, o terminy egzystujące, a właściwie koegzystujące nieodmiennie w charakterze braci sjamskich. Maniera ta przeważnie grasuje na terenie przymiotników, które według praktykowanego przez nią językowego savoir vivre'u występują parami takimi jak „instruktażowo-szkoleniowy", „wypoczynkowo-rekreacyjny", czy „społeczno-socjalny". Wyraża się w tym przekonanie, że takie właśnie stylistyczne przykompilkowanie terminu zawiera myśl, która z pewnością musi być inteligentna, skoro w zastosowanej zwyczajnie terminologii nie może się zmieścić.

Owo tworzenie neologizmów opartych na zasadzie zbitek wyrazowych przedostało się również na teren rzeczowników. Trzeba powiedzieć, że przedostało się, aczkolwiek podobne w postaci np. „kursokonferencji", czy chłopo-robotnika" mamy już od pewnego czasu. W tym wypadku jednak można mówić o jakim takim uzasadnieniu przedmiotowym, boć ostatecznie kurs nie jest konferencją, a chłop nie dawno zaczął bywać robotnikiem, więc dwutematyczność określenia wnosi coś pod względem istotnie logicznym. Ale co powiemy o dziwolągach takich, jak „stropo-dach", czy „szopo-garaż"? Powiemy, że w mniemaniu niektórych prelegentów dodają elegancji stosowanej przez nich stylistyce a specjalistyczności stawianiu rzeczy, dlatego grasują sobie swobodnie po obszarze naszego języka nie tyle narodowego co narodowego jako specjalne wyznaczniki wtajemniczenia, czy orientacji. Kto buduje „szopo-garaż", ten na pewno nie ma nic wspólnego z prymitywem tej zwyczajnej komórki ze skrzypiącymi wrotami. Ten wykazuje znajomość rzeczy na wyższych piętrach ekonomiki państwowej.

Zadziwiające jest to upodobanie do słowa jako pustego dźwięku. Autor, czy kolporter owego wyrażenia daleki jest od zainteresowania się estetycznym czy tylko porządkowym stanem wymienionego obiektu, natomiast w jego nazwę wkłada całą pasję nowatorstwa, całą inwencję, której zabrakło dla rzeczywistości. Postępowanie to ma coś wspólnego ze statystyką, którą przeprowadza się pod kątem wylakierowania nie nadto lśniącego stanu rzeczy. Nie za wiele zaufania możemy mieć w takim razie do naszych budynków gospodarczych, skoro potrzeba im dorabiać taką terminologiczną nobliwość. Oto typowy awans rzeczywistości — w stylistyce referatów i przemówień.

Co wcale nie oznacza, że owe budynki rzeczywiście są na przedprożu agonii. Dlaczego więc galwanizować je aż tak sztucznym stylistycznym oddychaniem? Oto jest kwestio-pytanie, z którym zwraca się do lektora-czytelnika zmartwiono-stroskany.

Ijon

Rys. W. Fuglewicz

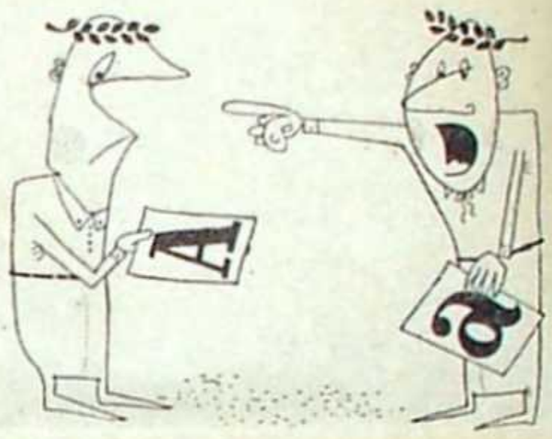

— Plagiat!

Rys. E. Szalecki

BIG-BEAT

Mała Wielka Gra

PANIE Redaktorze! Dawno już nie odzywałem się do Pana, ale w okresie wakacyjnym nam wszystkim (czytelnikom również!) należał się odpoczynek. Dziś jednak wyczytałem w prasie, że obchodzimy Międzynarodowy Tydzień Pisania Listów. No i ja do Pana jak w dym... Może, gdybym znał redaktorów „Times'a", „Żenminżipao", „U. S. News Report" czy „Izwiestii", inny byłby adresat na kopercie. Z drugiej jednak strony wiem, że moje listy traktuje Pan z wyjątkową złośliwością, udostępniając ich treść szerszemu ogółowi. Zmusza to mnie do szczególnej czujności i może stąd wynika jałowość wywodów. Często też wzmiankowana wyżej brzydka cecha Pańskiego charakteru pociąga za sobą kamuflaż: podaję fakt, ale tylko wtajemniczeni domyślają się, że nie chodzi o wydarzenia w Pernambuco, przy ujściu rzeki Capiberibe (maluczko, a będę startował w Wielkiej Grze — specjalizacja: Ameryka Południowa), a natomiast moich bohaterów należy szukać między Bugiem a Wisłą. Ściślej — nad Bystrzycą. Jakie miasto leży nad tą rzeką? To pytanie za 50 złotych. Dla ułatwienia podam, że w tym mieście z niejakim trudem można ostatnio nabyć pewien „produkt tłuszczowy otrzymywany sposobem mechanicznym z kwaśnej lub słodkiej śmietany" (vide: „Słownik języka polskiego" pod redakcją W. Doroszewskiego).

I tak, Panie Redaktorze, sam nie wiedząc kiedy, wlazłem się Pan do mojej małej Wielkiej Gry. Stawiam tylko jeden warunek: trzeba grać do końca, regulamin nie przewiduje ani możliwości wycofania się ani też 10-procentowej nagrody pocieszenia.

Kolejne pytanie za 100 złotych: co najlepiej umili czas między kursokonferencjami na delegacji w Lublinie? Dla ułatwienia informuję, że w Warszawie — jeśli wierzyć „Szpilkom" — wesoła gromadka pań przed kawiarnią „Metropol".

Odpowiada Pan, że gromadka pań przed „Regionalną"? No, gotów jestem tę odpowiedź zaliczyć, radziłbym jednak przedtem obejrzeć kolekcję pań, które wieczorami odwiedzają „Powszechną". Jeśli tak wygląda „nocne życie" stolicy województwa, głosuję za chełmskim „Kosmosem", ale to temat sam w sobie.

Teraz za 200 złotych: dlaczego autobusy MPK na linii dwójki kursują tak nieregularnie? Doskonale, wygrał Pan! Zainstalowanie zielono-czerwonych świateł lub zatrudnienie w godzinach szczytu milicjantów ruchu drogowego na skrzyżowaniach Lubartowskiej z Aleją Tysiąclecia i Nowego Światu z Kunickiego przekracza kompetencje miejscowych władz.

Za 400 złotych: kto przesłał do „Kuriera Lubelskiego" (nr 230) liścik tej treści — „Najserdeczniejsze pozdrowienia z Moskwy dla redakcji „Kuriera Lubelskiego" przesyła — Wiesiek Cz." Pana odpowiedź: Nie wiem, kto przesłał, ale wiem, kto zakwalifikował do druku. Uwzględniam, bo ten, kto zakwalifikował, też z pewnością nie wie. Zdrowie Wieśka Cz.! Może to kuzyn Józefa Czechowicza?

Stawka się podwaja. 800 złotych. Jakie zmiany kadrowe zaszły ostatnio w niektórych lubelskich placówkach kulturalnych? Dziękuję, Pan wie, ale prasa lubelska nie ma zwyczaju prowadzić rubryki w rodzaju „Personalne". Słusznie, po co ma się ludziom przez publikacje ich nazwisk od razu w głowie poprzewracać.

Pytanie za 1600 zł: ile kosztuje obecnie w sklepie „Chemii" przy ul. 1 Maja w Lublinie płyn do płukania ust produkowany przez poznańską „Lechię"? Ma Pan rację: 27 złotych, a jeszcze przed miesiącem za identyczną buteleczkę płaciliśmy 9 złotych. Można, oczywiście, przepłukać gardziołko żytniówką, ale gusta są różne...

Pytanie za 3200 złotych. Zadaję je na ucho, bo i tak publicznie nie przejdzie. Za 6 400, 12 500 — jak wyżej. Przebrnął Pan więc ostatnie — za 25 000 złotych: kiedy emerytowany major WP, Anzelm Borkowski, czołowy i jedyny felietonista (płci męskiej) „Sztandaru Ludu" zostanie przyjęty w szeregi Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich?

Że co? Nie zgłaszał się z podaniem? Panie Redaktorze, a czy nie można wystąpić z tzw. inicjatywą? Czy to nie obraza boska, że wojskowy wykazuje więcej odwagi cywilnej niż osoby stale parające się piórem? Że po prostu pisze, a nie składa sprawozdań i nie liczy oficjeli...

Przegrywa Pan moją małą Wielką Grę. Sądzę, że nie tylko Pan...

Jacek

NOTY i notki

Młodzi ludzie, rozpoczynający dopiero naukę w szkołach średnich, mają przed sobą świetlaną przyszłość, gdy znajdą się na wyższych uczelniach. Prof. dr Ksawery Rowiński według relacji „Polityki" (nr 41) zapowiedział: „Od 1975 r. będziemy dysponowali środkami ułatwiającymi uczenie się, poprawiającymi sprawność fizyczną i umysłową". Ponieważ chodzi tu o pigułki, można wnioskować, że za lat pięć udający się na egzamin student zamiast uczyć się historii po nocach, połknie pigułkę i tylko zerknie do skryptu. Przyszły lekarz będzie musiał połknąć ze dwie pigułki, przyszły matematyk trzy itd. Na kolokwium wystarczy pół pigułki. Ciekawe tylko, czy te środki będą w wolnej sprzedaży, czy jedynie na recepty.

„Wniosek, jaki się nasuwa w mojej pracy, jest jeden... ale to już pozostawiam czytelnikom, licząc na ich rzetelny obiektywizm" — kończy swój artykuł w „Głosie Nauczycielskim" (nr 41) niejaki Wybitny Eksperymentator. A ponieważ nieco wyżej omawiając swój eksperyment taką o nim wyraził opinię: „Nie będę tu opisywał drogi swego wnioskowania, bo to dla przeciętnego czytelnika za trudne" — mam jeden rzetelny i obiektywny wniosek: nie obrażać czytelników, z których każdy posiada przynajmniej średnie wykształcenie.

Na listę ogólnopolskich (teraz pisze się i mówi: międzywojewódzkich) festiwali może przybędzie jeszcze jeden: orkiestr dętych. Pośrednią sprawczynią jest tu zapewne Halina Kunicka, ale nie o to chodzi. Otóż taki festiwal chcą zorganizować władze powiatowe w Kozienicach. Sporządzono już nawet kosztorys, w którym m. in. przewidziano takie dwie pozycje: nagrody i wyróżnienia dla orkiestr — 11.200 zł, nagrody dla organizatorów — 15.000 zł. I słusznie. Dmuchać w trąbę potrafi niemal każdy, natomiast organizatorów wciąż szuka się ze świeczką.

Przerabianie przysłów jest rzeczą niebezpieczną, bo w ten sposób z tzw. mądrości narodów można zrobić coś całkiem odwrotnego dotyczącego autora. Przykładem tytuł w „Gazecie Białostockiej" (nr 274): „Nie utopić dziecka pozostawiając go w kąpieli". Rzecz zaś w tym, że równocześnie z otwarciem pierwszego w Białymstoku basenu krytego ma być rozwiązana jedyna w tym mieście sportowa sekcja pływacka.

Właśnie zakończył się miesiąc kultury usług spółdzielni pracy w woj. lubelskim. Miałem do polakierowania (piecowego) dwa błotniki samochodowe. W punkcie usługowym spółdzielni „Renoma" przy ul. Junoszy kierownik powiedział: około 750 zł. Gdy przyjechałem, kierownik był już na urlopie, a zastępca orzekł: 1150 zł. Na mój protest poczekaliśmy do powrotu kierownika, który z cennikiem w ręku wyliczył: 920 zł. Zapłaciłem, ale równocześnie zaprotestowałem (daremnie) przeciwko jednej pozycji. Po dwóch tygodniach spotkany na ulicy kierownik zwrócił mi 150 zł i wystawił nowy rachunek. W tzw. międzyczasie panienka z działu technicznego odmówiła stanowczo podania, jaka jest oficjalna cena, bo to stanowi tajemnicę służbową, której nie mogła uchylić nawet groźba interwencji u prezesa.

Nie można powiedzieć, aby nasza prasa codzienna zbyt często wygrywała wyścigi z żółwiami. Na wiosnę odkryto w Krynicy Morskiej źródła ciepłej solanki, o czym „Głos Wybrzeża" doniósł lojalnie z początkiem września. Dwa tygodnie później ta sama informacja w skróconej formie ukazała się w prasie pomorskiej, a wreszcie 10 października w jeszcze bardziej skróconej formie przeczytałem to samo w „Trybunie Ludu". W listopadzie będę pilnie czytał prasę krakowską.

W tejże prasie codziennej zdarzają się też liczne niby drobne błędy, które jednak w nieco uważniejszym czytelniku wzbudzają niewiarę w cały artykuł. Tak np. w artykule „Prawo budowlane na szczeblu powiatu („Sztandar Ludu" nr 241) czytam: „Na 140 pracowników powiatowych wydziałów budownictwa i architektury, 24 posiada wykształcenie wyższe, 83 średnie techniczne, a 32 średnie ogólne". Pomijając już obrzydliwość językową w rodzaju „na szczeblu powiatu" — to chyba 6 duchów (z jakim wykształceniem?) pracuje w tych wydziałach i stąd wszystkie nieprawidłowości.

JOD

Odpowiedzi redakcji

W. W. w Lublinie. Niestety, wydaje nam się, że Pański kolega ma rację. Szlachetne myśli Pan wygłasza, to fakt. Ale czyni Pan to prawie bezpośrednio, a w poezji musi zostać coś nie dopowiedziane, wtedy sens utworu może się wzbogacić a i czytelnik zechce sobie coś dośpiewać, trzeba mu tylko na to pozwolić. Za wytrwałą lekturę naszego pisma dziękujemy.

T. S. w Warszawie. Czytamy: „Jeśli mi się chce, to bez wielkich trudów piszę coś — wierszuję. Nie mam zamiaru właściwie zostać poetą i nie tyle mi zależy na wydrukowaniu wiersza, ile na waszej opinii..." A gdyby opinia była pozytywna, to co wtedy? Miałby Pan zamiar zostać poetą? Trochę chce nas Pan chyba skokietować. Jeśli ktoś „bycie" poetą uzależnia od cudzej opinii, a przy tym „wierszuje mu się bez wielkich trudów", wówczas poetą z pewnością nie jest i nigdy nie będzie. Ale Panu ponoć wcale na tym nie zależy?

S. K. w Tarnobrzegu. Nie bardzo wiemy, co czynić z nadesłanymi tekstami, bo listu cokolwiek objaśniającego Pan nie przysłał. Zgadzamy się wszelako, iż należy „z książką w ręku i miłością w sercu służyć Ojczyźnie".

M. H. w Lublinie. Na razie tylko ślady wrażliwej lektury szkolnych poetów odnajdujemy w Twoich tekstach. Czy się to kiedyś przerodzi w samodzielniejszą poezję, trudno wyrokować. Jeśli nie minie Ci chęć do pisania, moglibyśmy obejrzeć jakieś wiersze za rok czy dwa. Wtedy łatwiej by było sugerować: będzie coś z tego czy nie. Pozdrawiamy.

T. W. w Krakowie. Znacznie bardziej niż nadesłany zainteresowałby nas tekst przez Pana planowany, a już najbardziej wiadomości o sławnych postaciach, dotyczące spraw, o których świat się jeszcze nie dowiedział. Oczekujemy na informację, czy byłby Pan skłonny taki artykuł napisać. Poprzedni tekst możemy zwrócić. Prosimy też przysyłać pierwsze egzemplarze maszynopisu z podwójnym odstępem.

A. K (7). w Głogowie. Istotnie, te wiersze, jak i poprzednie, przypadły nam do gustu. Tylko nazwisko strasznie nieczytelnie Pani napisała. Jak publikować w takim przypadku?

W. B. w Rzeszowie. Mieni się Pan pisarzem marynistycznym. Ale nam się zdaje, że jakieś kawałkowanie literatury na marynistyczną, warsawianistyczną, sielską, miejską i tak dalej wielkiego sensu nie ma. Kryterium tematyczne w różnicowaniu czy tworzeniu literatury daleko nie prowadzi. Każdy rodzaj twórczości po prostu wyraża człowieka, jego troski, nadzieje i tęsknoty. Dzieje literatury więc to nie są w końcu dzieje pewnych tematów, lecz historia ludzkich wyobrażeń o świecie.

Stanisław Karp. z Lublina. Nikt jeszcze nie zdołał ostatecznie rozstrzygnąć, co jest trudniejsze do pisania: proza czy poezja. Chyba wszystko zależy od talentu. Ale z tym jest właśnie kłopot największy — nie wystarczy znajomość ortografii i gramatyki, nawet stylistyki, co w sumie może oznaczać łatwość pisania, ale z tego wcale nie wynika, że napisany „kawałek" jest prozą literacką. Nie pomoże nawet zmysł obserwacyjny i tzw. oczytanie. Te wszystkie rady, które dajemy kandydatom na poetów, prawie w całości odnoszą się również do kandydatów na prozaików. Droga do sukcesów jest równie długa i ciężka.

K. P. z Białej Podlaskiej. Nie posyła się, proszę Pana, tego samego materiału do kilku pism równocześnie, ale do drugiego dopiero wtedy, gdy pierwsze odmówi. Nawet jeżeli uda się, że jedno z pism zamieści, nie będzie to żaden sukces, ale początek porażki. Bo redaktorzy jednak czytają inne, pokrewne pisma i jeżeli przeczytają coś, co mają we własnej teczce, za następnym razem Pański materiał po prostu wrzucą do kosza.

Z. B. w Zamościu. Nie zajmujemy się oceną powieści. Prosimy zwrócić się do Wydawnictwa Lubelskiego, Lublin, ul. Okopowa 7.

Władysław F. z Warszawy. W okresie urlopów lub bezpośrednio po nich dostajemy dość dużo tzw. reportaży z naszego województwa. Ludzie przyjeżdżają na wakacje, widzą duże zmiany w porównaniu z tym, co pamiętają z okresu dziecięcego czy młodzieńczego — i piszą. Szlachetne to i świadczące o przemianach, jakie wciąż dokonują się w naszym województwie i zresztą w całym kraju. Ale nawet jeżeli wszystko jest absolutnie zgodne z prawdą, to jeszcze wcale nie znaczy, że napisana rzecz jest reportażem czy opowiadaniem. Trzeba jakiejś syntezy, refleksji, pominięcia nic nie wnoszących szczegółów, umiejętności eksponowania innych.

Kazimierz Row. w Lublinie. Zatrzymujemy do ew. wykorzystania.